Wiadomości Salezyańskie

Nr. 3 — MARZEC — 1905

Rocznik IX.

Beatus qui intelligit super egenum et pauperem: in die mala liberabit eum Dominus. [Ps. XL. 1]

Leo P. P. XIII



DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE



Związek

NAJŚW. MARYI PANNY, WSPOMOŻENIA WIERNYCH,

DLA UŁATWIENIA DOSTĄPIENIA STANU DUCHOWNEGO

w dojrzalszym już wieku będącej młodzieży.

„Bracia, myślmy nad tem, jak długo chcemy, ostatecznie przekonamy się, że niepodobna dokazać dzieła większego, jak przyczyniając się ze swej strony do ukształcenia wzorowego kapłana.“

(Św. Wincenty a Paulo).

Cel Związku. — Celem niniejszego **Związku** jest wspierać taką, w dojrzalszym już będącą wieku, młodzież, która posiadając skądinąd wszelkie potrzebne moralne przymioty i odpowiednie zdolności, pragnie za pomocą osobnego, do jej wieku i potrzeb zastosowanego kursu, oddać się naukom, by potem módz Panu Bogu poświęcić się na służbę w stanie duchownym.

Po ukończeniu studyów i należytem wypróbowaniu ich powołania, pozostawi się alumnom wolność, bądź powrócenia do swojej dyecezyi, bądź wstąpienia do zakonu, bądź też udania się na misye zagraniczne.

∴

Środki. — Nie posiadamy żadnych stałych funduszów. Zadanie, jakieśmy sobie wyżej stawili, pragniemy osiągnąć za pomocą ofiar, składanych dobrowolnie przez członków Stowarzyszenia, czyli **Związku Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych**, w tym właśnie celu zawiązanego, a przez Ojca św., Piusa IX, pobłogosławionego, gorąco zaleconego i wyposażonego przezeń po wieczne czasy licznymi odpustami.

Członkami tegoż **Związku** mogą być wszyscy wierni płci obojga: tak mężczyzni, jak niewiasty i dzieci, Zgromadzenia zakonne, zakłady naukowe i wychowawcze, towarzystwa i t. d.

Członkowie **Związku Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych**, tworzą osobne, od wszystkich innych odrębne Stowarzyszenie; stanowią, że się tak wyrazimy, *święty hufiec* **Pomocników Bożych**, który stawił sobie za zadanie: rozszerzać królestwo Chrystusa Pana tu na tej ziemi.

Członkami **Związku** mogą zostać także tacy, którzy nie są **Pomocnikami salezyańskimi.**

∴

Warunki przyjęcia. — Pierwszym i nieodzownym warunkiem przyjęcia jest: żywe pragnienie przyczynienia się, odpowiednio do swoich zasobów, do przyprowadzenia do skutku *największego* i najlepszego *dzieła*, tj. dostarczenia Kościołowi św. dobrych i gorliwych kapłanów.

Ażeby jednakże wszyscy wierni mogli uczestniczyć w dziele tak wzniosłem, dzielą się członkowie **Związku** na trzy kategorye:

1. **Zwyczajni członkowie**, którzy się zobowiązują płacić *miesięcznie:* po 10 *fenygów* (10 *halerzy*, 5 *kopiejek*); lub *rocznie:* po 1 *marce* (1 *koronie*, $^1/_2$ rubla).

   Kapłani mogą zostać *zwyczajnymi członkami*, odprawiając co rok *jedną* Mszę św. i odstępując stypendyum na rzecz **Związku.**

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

PRZEGLĄD DZIEŁ X. BOSKO.

Turyn. — Oratoryum św. Franciszka Salezego.

ROCZNIK IX. Nr. 3. Wychodzą co miesiąc. MARZEC 1905.

TREŚĆ: Str.

OD WYDAWNICTWA.

Naszym szanownym Czytelnikom z pod zaboru pruskiego, z Galicyi, Bukowiny i Śląska austryackiego podajemy do łaskawej wiadomości, że odtąd *Wiadomości Salezyańskie* będą im stale nadsyłane z Wiednia, nie z Turynu. Postaraliśmy się o to po pierwsze dlatego, że wysyłka naszych zeszytów będzie mogła tym sposobem być o wiele szybciej uskuteczniana, a powtóre także opłata pocztowa będzie nas kosztowała miesięcznie o kilkaset franków mniej niż dotychczas. Zwracamy atoli uwagę, że Administracya i Dyrekcya *Wiadomości Salezyańskich* pozostaje nadal w Turynie, i dlatego wprost tamdotąd prosimy zwracać się w wszelkich sprawach dotyczących naszego czasopisma, oraz jedynie tam a nie do Wiednia należy przesyłać wszelkie dobrowolne datki za pobieranie tychże *Wiadomości*.

Przy tej sposobności donosimy licznym naszym Czytelnikom z Galicyi, że głoski i liczby (np. K. 175, L. 58 i t. p.) jakie od niedawna zaczęliśmy dopisywać na poszczególnych adresach, nie oznaczają bynajmniej, iż odbiorca ma nam zaraz lub kiedykolwiek zapłacić dajmy nato 175 koron, — albo też otrzymywać nasze czasopismo w liczbie 58 egzemplarzy, — jak niektórzy przypuszczają. Nie, mniemanie takie jest wręcz błędne a poniekąd i zabawne. Litera *K.* lub *L.* z następującą po niej liczbą oznacza jedynie, iż poczta danej miejscowości należy do obwodu pocztowego w Krakowie lub we Lwowie, i że w ogólnym spisie poczt galicyjskich pod wskazaną liczbą jest zapisana. Jesteśmy przekonani, że niniejsze wyjaśnienie zdoła uspokoić te umysły, które głównie literę *K.* z następującą po niej liczbą wzięły za korony i bardzo się tem zaniepokoiły.

Ćwiczenie miłości bliźniego i nasi Pomocnicy.

Rozrzucać pieniądze na rozkosze i uciechy, kiedy liczne rodziny cierpią nędzę, szczególnie teraz gdy zima pozbawia wielu robotników zarobku, nie tylko jest grzechem, lecz do pewnego stopnia zbrodnią społeczną.

Jeśli, mówi Pan, *jeden z braci twoich, którzy mieszkają między bramami miasta twego, w ziemi którąć dał Pan Bóg twój, do ubóstwa przyjdzie: nie zatwardzisz serca twego ani ściśniesz ręki, ale ją otworzysz ubogiemu i pożyczysz czego baczysz że potrzebuje. — Dla przykazania wspomóż ubogiego: a dla niedostatku jego nie opuszczaj go próżnego. — Synu, nie odejmuj jałmużny ubogiemu a oczu twoich nie odwracaj od ubogiego* (1). Jezus Chrystus zaś pełen miłości dla bliźniego, nie tylko nazwał *błogosławionymi* biednych, nie tylko przypomniał bogaczom obowiązek wspierania ubogich, lecz oświadczył ponadto, że będzie uważał za przysługę wyświadczoną Sobie to wszystko, co uczynimy dla najnędzniejszego z biednych.

Także prawo naturalne wpisane przez Boga samego w serca wszystkich ludzi, na tej podstawie że wszyscy jesteśmy braćmi, uczy nas litości względem bliźniego znajdującego się w cierpieniach i nakłania nas do wspomagania go, o ile nam to jest możebne.

(1) Ks. powt. prawa XV, 7 - Ekklez. XXIX, 12 i IV, 1.

Obowiązek więc miłości chrześcijańskiej i z tej strony jest bardzo wyraźny i samemi słowami bynajmniej go należycie wypełnić nie możemy. Jeżeliby one wystarczały, to z pewnością żaden inny wiek nie byłby miłosierniejszy od naszego.

Prawdziwa miłość pochodzi z serca a objawia się w uczynkach. *Ktoby miał*, mówi św. Jan Apostoł, *majętność tego świata, a widziałby że brat jego ma potrzebę, a zawarłby wnętrzności swe przed nim, jakoż w nim przebywa miłość Boża? Nie miłujmy słowem ani językiem, ale uczynkiem i prawdą* (1). Ażeby się wyłamać z pod prawa jałmużny, często uciekamy się do sztucznych pretekstów; najgłówniejszy jest niemożliwość. Jeżeli się jednak dobrze zastanowimy, przekonamy się, że bardzo rzadko zachodzi rzeczywisty brak środków; najczęściej pod tym pozorem ukrywa się samolubstwo i pragnienie nagromadzenia bogactw. Zresztą Pan Bóg nie wymaga, aby jałmużna przewyższała nasze siły, bo w księdze Tobiasza czytamy: *Będzieszli miał wiele, hojnie dawaj: jeśli mało będziesz miał i mało z chęcią udzielać usiłuj* (2).

« O innym powodzie mającym nas zachęcać do jałmużny, pisze ks. Bosko, nadmienił Zbawiciel nasz w ewangelii św., mówiąc: *A ktokolwiek dał się napić*

(1) III, 17 i 18.
(2) IV, 9.

jednemu z tych najmniejszych kubek zimnej wody tylko w imię ucznia: zaprawdę powiadam wam, nie straci zapłaty swojej (1). Więc ofiarować coś ubogim w tem życiu, znaczy tyle, co pomnażać własne dobra i zapewnić sobie obiecaną od Boga nagrodę wieczną w przyszłem ».

« Zamiast przeto rozpraszać wasze bogactwa, mówi Bossuet, o tyle pewniej będziecie je posiadywali, o ile święciej je rozdacie. Ubodzy odwdzięczą wam się w sposób wznioślejszy, dary bowiem zmieniają się całkowicie w ich rękach. W waszych były one znikome, a gdy przechodzą w ich posiadanie, stają się wiecznotrwałe. Są oni potężniejsi od królów. Królowie edyktami swymi nadają pewną wartość pieniądzom, ubodzy zaś nadają wartość nieskończoną temu, na czem swą pieczęć wyciskają ».

***

Wobec tak wyraźnego i dokładnego obowiązku, co mają czynić Pomocnicy Salezyańscy?

Otwórzmy regulamin.

Ojciec Św. Pius IX. Związek ten kładzie na równi z Trzecim zakonem dawniejszych zgromadzeń zakonnych, z tą wszelako różnicą, że kiedy tamte mają na celu dążenie do udoskonalenia się przez **ćwiczenie się w pobożności,** — *naszego zadaniem jest życie czynne za pomocą* **uczynków miłosie nych** *co do bliźnich a szczególnie co do młodzieży opuszczonej, a przez to wystawionej na ciągłe niebezpieczeństwa.* I miłość ta na korzyść dzieci opuszczonych polega na tem, *aby je zbierać, uczyć zasad wiary św., zachęcać do chodzenia do kościoła, wspierać radą w razach jakiegoś niebezpieczeństwa, prowadzić je tam, gdzieby mogły pobierać naukę religii. Ktoby nie był w możności dopełnić sam przez się któregokolwiek z tych dobrych uczynków, mógłby to przez drugich uczynić, zachęcając np. którego ze swych krewnych albo przyjaciół, żeby go w tem wyręczył».*

Nareszcie « *można być jeszcze Pomocnikiem przez to, że się dopomaga* **modlitwą** *lub dostarczaniem środków materyalnych wszędzie tam, gdzie tego potrzeba zachodzi, na wzór pierwszych chrześcijan, którzy znosili swoje mienie do stóp Apostołów ku niesieniu ulgi wdowom, sierotom, i na inne pilne potrzeby* ».

Dla Pomocników Salezyańskich zatem ćwiczenie miłości jest ściśle i wyraźnie określone na równi z jej obowiązkiem.

Możecie złożyć jaką jałmużnę, szczególnie na korzyść młodzieży opuszczonej? uczyńcie to z serca.

Nie możecie? Módlcie się! Polecajcie Panu Bogu sprawy naszego pobożnego Stowarzyszenia, będące sprawami Zgromadzenia Salezyańskiego, z którem tworzycie jedną rodzinę. Jest to sposób praktykowania miłości łatwy i dostępny dla wszystkich, i dlatego polecamy go gorąco naszym zacnym Pomocnikom.

(1 Mat. XIX, 29.

REPREZENTANT NAJPRZEW. X. MICHAŁA RUA
w Ameryce.

(Pokłosie z listów X. Calogero Gusmano).

(Ciąg dalszy).

W Ekwatorze.
Owoce pracy misyonarskiej w Gualaquizie.

Owoce zebrane przez naszych misyonarzy podczas ich tamtejszego dziewięcioletniego pobytu są wielkie. *Shanza* już się publicznie nie odbywa; walki bratobójcze tylko dwa razy się powtórzyły i zaraz zostały stłumione. Kto żyje pomiędzy Iwarosami, spostrzega zaraz, że wybuch zemsty zależy w wielkiej części od naczelnika, który nimi rządzi; nasi misyonarze różnemi sztuczkami uzyskali to, co się zdawało niemożebnem, zastrzegając i przywłaszczając sobie prawo wyboru naczelników. Takim to sposobem tłómaczyć należy względny pokój teraz tam panujący i zwierzchność, jaką misyonarze mają nad dzikimi. Oprócz tego wiele dusz uleciało z tych puszcz do nieba. Są to wprawdzie po największej części dzieci, lecz także i dla nich, bez pomocy misyonarza, brama niebieska byłaby była zamknięta. Dorośli rzadziej dopuszczani bywają do chrztu, bo kapłani słusznie się obawiają, że starsi nie zrozumieją jego ważności; jednakowoż wielu bierze udział w świątecznych nabożeństwach kościelnych. Wielożeństwo, niegdyś tak rozpowszechnione, usunięto niemal całkowicie, a z początku pozwalano na nie tylko kapitanom. Jesteśmy jednak przekonani, że jeszcze bardzo wiele zostaje do zdziałania, że całkowite nawrócenie Iwarosów wymaga długiego czasu, poświęcenia bez granic a przedewszystkiem obfitej pomocy Bożej, jakiej nam pewnie wskutek tylu modlitw Najwyższy nie odmówi.

Uroczystość Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki. — Odjazd.

W niedzielę 22go czerwca, w ostatni dzień naszego pobytu w Gualaquizie, odprawialiśmy uroczystość Najśw. Maryi Wspomożycielki, poprzedzoną przez odpowiednie tryduum. Sumę celebrował ks. Albera; Iwarosowie przybyli w pięknych strojach; po południu szli po dwóch za statuą Najśw. Maryi, obnoszoną procesyonalnie około pagórka, na którym stoi nasza misya. Ten dzień zostanie pamiętny dla nas z powodu wzruszającego widoku. Ks. Albera wstąpiwszy do kościoła, wygłosił piękne kazanie o Najśw. Pannie, zapewniając wszystkich że ten obchód był dla niego zapłatą za wszelkie trudy poniesione w podróży. Następnie udzielił błogosławieństwa Przenajśw. Sakramentem Ołtarza.

Wyjechaliśmy nazajutrz o godz. 9tej. Co to za przykrość rozdzielać się z braćmi, których już więcej oglądać nie będziemy a którzy, jak wiadomo, cierpią niedostatek i są wystawieni na różne niebezpieczeństwa! Przez kawał drogi zdawało się, że cała ludność porzuciła lasy i że puszcza się za nami wyludnia: wszyscy współbracia jechali z nami na koniach a Iwarosowie szli pieszo przed nami, błagając, ażebyśmy prędko wrócili.

Trzymaliśmy się tej samej drogi, którą byliśmy przyjechali; tylko deszcz ulewny poprzewracał wiele drzew i w pewnych miejscach tak dalece zatarasował niemi drogę, że trzeba było ją sobie torować siekierami.

Przygody powrotu.

Po trzydniowej podróży przybyliśmy do Cuenca, gdzie złożyliśmy kilka wizyt. Stąd mieliśmy się skierować ku Riobambie, przechodząc przez straszną górę *Azuay*. Niepodobna opisać trwogi jaka nas ogarnęła, gdy poczęło ciemnieć: szukaliśmy pewnego domu, mającego nam służyć za schronienie podczas nocy, a przewodnik mało świadomy miejsc, prowadził nas po strasznych krawędziach przepaści. Noc była ciemna; słabość zamieniła się w zupełne wycieńczenie; zdawało się, że upragnione *tambo* przepadło gdzieś w ciemnościach nieprzejrzanych. Nareszcie po kilku godzinach ciągłych niebezpieczeństw przybyliśmy do opuszczonego szałasu, do tego stopnia wygodnego, że ks. Albera i sekretarz musieli się przespać na deskach, które pewnie niegdyś służyły

za żłób dla koni. Gospoda nie chroniła nas ani nawet od deszczu; zdjęte z koni dery były naszem przykryciem a siodła poduszkami. Była to jednak noc, w której doznaliśmy wyraźnej opieki Opatrzności Boskiej, ks. Albera bowiem, podobnie jak w innych razach, mógł był zapaść w groźną chorobę, a tymczasem wszystko skończyło się na tem, że rano czuliśmy taką słabość, jak gdyby nas kijami obito.

Przed świtem spostrzegliśmy, że zbiegł nam przewodnik, przywołaliśmy zatem Indyanina strzegącego w pobliżu trzody i prosiliśmy go, by nas poprowadził. Indyanin nie odmówił, lecz prosił, by mu się pozwolono po coś na chwilkę oddalić. Czekamy nadaremnie trzy godziny z mułami już gotowymi do podróży, a w końcu idziemy w tropy za nim i znów prosimy, a on tłómaczy się, że nie może opuścić swojej trzody. My z naszej strony silimy się przekonać go, iż przez parę godzin mogłaby jej strzedz jego żona, i że mu dobrze zapłacimy; lecz wszystko daremnie, i musieliśmy go prawie zmusić do oddania nam rządanej przysługi. W podobnych wypadkach niema innego środka; była to dla nas kwestya życia lub śmierci. Indyanin wobec rezolutnej postawy staje się łagodny jak jagnię i nie powtarza ani słówka.

Jazda w niektórych miejscach była straszna; na gładkich kamieniach zwierzęta często padały. Nie można było zawsze iść piechotą, lecz często byliśmy do tego zmuszeni. Po jednej z licznych pochyłości mulica ks. Albera przeszła szczęśliwie, lecz moja po trzykrotnej próbie upadła na skrwawione kolana i potoczyła się w przepaść. Zdołałem jednak zeskoczyć i rzucić się na ziemię. Mulica zatrzymała się na szczęście w gęstych krzach, kryjących głęboką przepaść.

Nareszcie po piętnastodniowej podróży przybyliśmy 5 lipca do Riobamby, jednego z głównych miast Ekwatoru, gdzie przebywa inspektor domów salezyańskich tej Rzeczypospolitej. W pobliżu miasta nastąpiło czułe powitanie z siedmdziesięciu wesołymi uczniami naszych szkół: stali parami, a gdy ks. Albera przechodził pomiędzy nimi, wydawali wesołe okrzyki na jego cześć a później szli za nim w porządku aż do zakładu. Tu i ówdzie spadały na nich kwiatki: ludność gromadziła się na drogach, przez które przechodzili.

W Riobambie.

Riobamba, położona 2798 metrów nad poziomem morza, liczy blisko 16,000 mieszkańców i znajduje się w okolicy bardzo piaszczystej: jeżeli wiatr dmie, co często się zdarza, to unoszą się ponad miastem chmury piasku. Drogi są proste i obszerne, domy nizkie; jest kilka ślicznych kościołów; najwspanialszy wznoszą obecnie OO. Jezuici, którzy zaprowadzili nas także na miejsce gdzie przed kilku laty, podczas ostatniej rewolucyi, został zamordowany ich Przełożony, O. Moscoso, krajowiec, człowiek o charakterze bardzo łagodnym. Wichrzyciele dołączyli do okrucieństwa wzgardę, wkładając w ręce ofiary strzelbę i rozszerzając o nim niegodne potwarze. Rozbójnicy zbeszcześcili kościoły i Najśw. Sakrament ołtarza, lecz spotkała ich niebawem straszna kara, którą dziś jeszcze wszyscy są przerażeni.



Goyaz (Matto Grosso). — Widok klasztoru OO. Dominikanów.

Także i nasi podczas rewolucyi wiele ucierpieli; wzięto im zakład i przemieniono na koszary wojskowe; wychowankowie i przełożeni zostali rozproszeni. Atoli roztropność i długa cierpliwość przełożonego zdołały odkupić dom, który liczy obecnie przeszło 200 chłopaków szkolnych. Z zadowoleniem wzięliśmy udział w wieczorku, jaki się odbył z okazyi końca roku szkolnego, a na który zapraszają zwykle najzacniejszych obywateli miejscowych. Wszyscy chłopacy, ustawieni według klas przed nauczycielami, bywali pytani o przedmiotach podczas roku szkolnego rozwiniętych; publiczność a głównie rodzice przybywają na takie wieczorki

w wielkiej liczbie, aby się przekonać jak się ich dzieci spisują. Pcdobał się szczególnie dyalog trzech Iwarosów z Gualaquizy, którzy już od paru lat znajdują się w naszym zakładzie i noszą nazwy Jana Bosko, Michała Rua i Jana Cagliero.

W Riobambie skorzystano z obecności wizytatora, ażeby odbyć przepisaną konferencyę dla pomocników: O. Cangas, Jezuita, okazał dokładną znajomość naszego dzieła rozwodząc się nad niem w świetnej mowie, po której ks. Albera serdecznemi słowy podziękował przedewszystkiem doktorowi Proaño, dyrektorowi pomocników, jako i zelatorom i wszystkim obecnym; w końcu poczyniono nowe wpisy.

Zwiedziliśmy także kościół, który nasz ks. Fusarini z wielkiem poświęceniem buduje obok zakładu. W niedziele wielka część mieszkańców okolicznych wsi, po nabożeństwie idzie przy śpiewie pieśni kościelnych po kamienie, konieczne do budowy świątyni, przyczyniając się takim sposobem do budowy mającej być domem Pana Boga a dla nich bramą nieba. Wzruszał nas ten widok i ich wielka wiara. Pan Bóg niezawodnie im pobłogosławi.

Pokłoniwszy się ks. biskupowi, który niedawno powrócił z wygnania na jakie przez wichrzycieli został skazany, zwiedziliśmy różne żeńskie zgromadzenia zakonne, gdzie nasi Salezyanie udzielają nauki katechizmu i Sakramentów; w końcu wyjechaliśmy do stolicy.

W podróży do Quito.

Pierwszy dzień, aż do Atoch, przebyliśmy na koniu. W Atoch przygotowuje się wielki dom dla Salezyanów, a właściwie został im już odstąpiony na własność. Było to starożytne seminaryum, przerobione w ostatnich wojnach na koszary wojskowe. Wiadomo, że żołnierze chcą wszędzie swe ślady zostawić, a są tu one bardzo znaczne, zniszczyli bowiem wszystko co mogli; wystarczy nadmienić, że ażeby gmach ten tylko jako tako uporządkować, trzeba będzie wyłożyć przeszło 10,000 franków. Roboty już się zaczęły i pokładamy całą nadzieję w Opatrzności. W blizkiem miasteczku Ambato oczekiwał nas dyrektor z Quito. OO. Dominikanie przyjęli nas z wielką miłością. Nazajutrz o świcie najęliśmy powóz, opuszczając nasze muły: mieliśmy już dosyć tej jazdy konnej, chociaż z drugiej strony myśleliśmy już o owych trzech lub czterech miesiącach, podczas których taka podróż miała być naszym jedynym lub przynajmniej głównym środkiem podróżowania.

W odległości godziny jazdy od Quito powitały nas reprezentacye wielu władz i zgromadzeń zakonnych. Był to ostatni najzupełniejszy znak miłości jakiej doznaliśmy w Ekwatorze; ludność nagromadzona w nowym kościele oczekiwała śpiewu *Te Deum*, który chociaż tyle razy powtarzany, wypływał nam z samej głębi serca, ponieważ miewaliśmy zawsze nowe dowody miłosierdzia Pana Boga.

W Quito.

Nasz nowy dom nazwany *de la Tola* wznosi się naprzeciw *Protectorado*, u stóp pięknego pagórka: tam Salezyanie wybudowali skromny zakład przygarniający przeszło 200 wychowanków, podzielonych na różne klasy i pracownie; wybudowali nadto kościółek bardzo tu potrzebny dla tej części miasta. Ks. Albera poświęcił doskonałą garbarnię, która tu była mało znana przed przybyciem Salezyanów. Prezydent miasta i jego żona byli rodzicami chrzestnymi, i oprócz słów pochwały dla Salezyanów złożyli wspaniałomyślną i hojną ofiarę.

W Quito zjednali sobie Salezyanie wielką sympatyę; wszyscy chcą brać udział w wzniesieniu domu dobroczynności (tak oni go nazywają), który chociaż pomału, jednakże ciągle się powiększa i ciągle rośnie liczba jego wychowanków.

Ks. Albera nie omieszkał pokłonić się św. Franciszkowi Salezemu w Ekwatorze, łagodnemu biskupowi ks. Gonzales, prawdziwemu ojcu Salezyanów, szczególnie podczas ostatniej rewolucyi i w czasie wygnania. Przyjęli nas także grzecznie Prezydent Rzeczypospolitej, syn Garcyi Morena i inne zacne osoby, które otaczały naszego Przełożonego podczas udatnego wieczorka muzyczno-deklamacyjnego. Bracia szkół chrześcijańskich prosili ks. Albera ze Mszą św., a gdy wychodził z kościoła, przedstawili mu 1300 chłopaczków uczęszczających do ich szkół; dwóch z nich wynurzyło mu swe serdeczne życzenia, dziękując zarazem za dobro, jakie dla nich spełniają Salezyanie, ich spowiednicy.

Pracy nie brakuje: dyrektor miał regularne wykłady w szkołach zakładu, kazał w kościele publicznym, słuchał spowiedzi a drudzy go naśladowali. Niech nam Pan Bóg przysyła wielu i dobrych pracowników, bo inaczej nie można uprawiać należycie Jego winnicy.

Odjeżdżamy. — Zbyteczna bojaźń.

Ks. Albera czuł się niezdrowym; wysokie

położenie miasta Quito wywoływało skutki, jakie był cierpiał w La Paz: trudność w oddychaniu i silny ból głowy. Nie było więc roztropnością dłużej się zatrzymywać: lipiec zaś miał się ku schyłkowi a 30^{go} mieliśmy się znajdować na okręcie, który odjeżdżał z Guayaquil do Kolumbii. W towarzystwie dyrektora wsiedliśmy zatem na trzy konie i w kilku godzinach znajdowaliśmy się w ostatnim domu ekwatorskim, czyli w starym nowicyacie, który w pamiętnej nocy wygnania liczył przeszło 30 nowicyuszów. Jak żałobne skutki przyniosła ta noc fatalna!

Wróciliśmy do Quito posługując się różnymi środkami komunikacyjnymi: powozem, końmi i pociągiem, ażeby tylko na czas przybyć na pokład. W ostatnim dniu przepędziliśmy 14 godzin na koniu; słońce paliło; drogi w niektórych miejscach były poprzerywane, nie wiem z jakiego powodu; niekiedy wjeżdżaliśmy w las, ażeby się trochę ochronić od promieni słonecznych. Raz zeszliśmy z drogi; spostrzegłszy więc chatkę, zbliżyłem się do niej z zapytaniem, czy znajdujemy się na dobrej drodze, prowadzącej do Huigra.

— Tak panie, odpowiedział mi mężczyzna mający dziki wyraz twarzy i długą, całkowicie białą brodę, i dodał: Czy pan nie życzyłby sobie napoju ochładzającego?

— Dziękuję, odrzekłem: lecz on nie zważając na moje słowa, wszedł do chatki, otworzył butelkę, nalał w wielką szklankę i:

— Niech pan pije, rzekł, napój ten pokrzepi pana.

— Ja się wzbraniam, bo dziwnem mi się wydawało, że w tem miejscu ofiarował mi napój człowiek, do którego nie czułem żadnego zaufania i pomyślałem sobie: Jeżeliby to był prawdziwy napój, dlaczego nie otworzył butelki w mojej obecności? i z tej też przyczyny nie chciałem się dać nakłonić da picia.

Ks. Albera zaś, nie widząc mnie, wraca się, i tajemniczy ten człowiek jemu ofiaruje szklankę napoju. Perswaduję mu, że przełożony nie ma żadnego pragnienia, że przed chwilką się napił i że mogłoby mu zaszkodzić i t. d. Ks. Albera jednakowoż niczego się nie obawiając i mając istotnie wielkie pragnienie, nie zważa na moje słowa i zbliża do ust ofiarowany mu napój. Byłbym był uczynił w tej chwili nie wiem co, aby tylko przeszkodzić piciu; nie chcąc jednak obrazić tego człowieka, chciałem się na wszelki przypadek podzielić losem mego przełożonego. Gdyśmy się oddalili, wynurzyłem ks. Albera moje podejrzenia i w Imię Boże ruszyliśmy dalej: człowiek ten pod grubiańską powierzchownością posiadał duszę szlachetną i litościwą; może niegdyś cierpiał pragnienie, jakie żeśmy my czuli i zapewne dlatego miał miłosierdzie nad nami.

Inny akt miłosierdzia. — W drodze do Kolumbii.

Nazajutrz inny czyn miłosierdzia przekonał nas o Opatrzności Boskiej, która nad nami czuwała. W Huigra przespaliśmy się pod nędznym namiotem; w drewnianej nie ukończonej chatce odprawiliśmy Mszę św., która stanowi prawdziwą pociechę dla misyonarza, a tem więcej dla nas, co nie byliśmy przyzwyczajeni do tak ciężkiego życia. Odprawiwszy przewodnika i zmieniwszy ubranie, wsiedliśmy do pociągu; im więcej zbliżaliśmy się do brzegów, tem więcej czuliśmy upał słoneczny. O 2^{giej} po południu wagony zdawały się rozpalonymi piecami. Pociąg zatrzymuje się na pół godziny i ja zapraszam ks. Albera, aby na chwilkę zeszedł i posilił się nieco. Odpowiada mi, że niczego nie potrzebuje, lecz że jednakowoż spożyłby chętnie talerz rosołu, czego nie można się było spodziewać w tych miejscowościach. Z głową spuszczoną myślałem co należało uczynić, godzina bowiem była już późna a byliśmy jeszcze zupełnie na czczo, gdy oto ktoś puka do okna wagonu: była to dziewczyna, która przyniosła dwie miseczki rosołu, podczas gdy pani stojąca przy niej prosiła grzecznie byśmy go przyjęli. Ks. Albera z uśmiechem pyta mnie, czy możemy go bez niebezpieczeństwa przyjąć: ani mu nie odpowiedziałem, lecz pierwszy dałem się do dzieła; był to dla nas prawdziwy posiłek, wielki dowód Opatrzności Boskiej.

W Guayaquil przygotowali nasi niektórych chłopaczków do pierwszej Komunii św., którą przyjęli z rąk ks. Albera. Następnej nocy zostaliśmy zaniepokojeni przez pożar, który zniszczył do szczętu niektóre domy blizko naszego zakładu.

Uwiadomieni że z Callao przybył okręt, który miał nas zawieść do Panamy, pożegnaliśmy się z współbraćmi i z wychowankami i przygotowaliśmy się do podróży: była to ostatnia podróż na Oceanie Spokojnym, mająca trwać tylko trzy dni i wszyscy życzyli nam, aby była najpomyślniejsza. Powiewając chusteczkami, oddaliliśmy się z tej Rzeczypospolitej, która nam przez dwa miesiące dała przytułek

i która już tyle pracy, wydatków pieniężnych i ofiar kosztowała Zgromadzenie salezyańskie: niech one zostaną wiecznemi węzłami pomiędzy nami a tym dobroczynnym narodem, któremu ks. Bosko umierając błogosławił i do którego wtedy wysyłał swych pracowników.

Do Panamy.

Także i teraz podróżowaliśmy niepewni; już szósty miesiąc upływał jak byliśmy pisali do Kolumbii i nie otrzymaliśmy jeszcze żadnej odpowiedzi. Wiedzieliśmy, że już od blizko trzech lat panowała tam straszna wojna domowa; lecz nie był nam znany los naszych współbraci. To zastanowiło i zasmuciło bardzo ks. Alberę. Ostrożność odradzała mu niebezpieczną podróż do Bogotá, a miłość go tam ciągnęła. Modliliśmy się i spodziewaliśmy dowiedzieć się czego od biskupa Panamy, wielkiego przyjaciela i dobroczyńcy Salezyanów. Po czterodniowej podróży morskiej ukazało nam się nareszcie miasto Panama i chcieliśmy wysiąść. Jeneralny konsul rzpltej chilijskiej w Panamie, który z nami odbył podróż, nalegał, ażebyśmy się zatrzymali i oglądnęli szczegółowo pracę dokonaną i do wykonania przy słynnym kanale Panamy, gdy zostaliśmy uwiadomieni, że na lądzie grasuje żółta febra i że zeszedłszy, nie moglibyśmy więcej wejść na pokład bez poddania się kwarantanie, Wiedząc już co to znaczy poddać się kwarantanie, złożyliśmy zaraz nasz kapelusz, a ja napisałem niebawem z przeproszeniem list do ks. biskupa, prosząc go zarazem, ażeby nam raczył wysłać do Colòn naszą korespondencyę, jeżeliby przypadkowo jakaś była nadeszła. Wstąpiwszy na pociąg stojący w pogotowiu, znaleźliśmy się w dwóch godzinach w Colòn, miasteczku zdrowem i ustawicznie się rozszerzającem, chociaż nie posiada tej wygody co Panama. Dwie godziny pociągu szybko nam przeleciały, gdyż byliśmy ciągle przy okienku, aby badać prace kanału od kilku lat już zawieszone. Spostrzegliśmy różne maszyny i narzędzia rozrzucone wzdłuż drogi. Parę dni później pewien inżynier przysłany ze Stanów Zjednoczonych, ażeby



Matto Grosso. — Mali Indyanie Bororos ochrzczeni przez X. Malana dnia 12. czerwca 1904 r.

ostatecznie zawrzeć umowę z Kolumbią i ukończyć dzieło porzucone przez spółkę francuską, objaśnił nam gruntownie i obszernie znaczenie olbrzymiego przedsięwzięcia. Po ogromnem przecięciu międzymorza Sueskiego i przebiciu gór Frejusa i św. Gottarda, było to bezwątpienia największe dzieło, które mechanika w przeszłym wieku przedsięwzięła, a pod niektórymi względami może przewyższało dzieła wymienione.

W Cartagenie. — Ku Baranquilla.

W Colòn mamy zaledwie czas nająć powóz i zdążyć do portu: statek *Versailles* należący do pewnej spółki francuskiej dał już pierwszy znak odjazdu i bilety do Cartageny musiałem zakupić na pokładzie.

Cartagena z swym obszernym portem zdaje się *królową Antyl*, chociaż jej handel już upadł i to prawdopodobnie na zawsze, a tylko od czasu do czasu port bywa zwiedzany przez okręty europejskie. Zapewnie nie jest to już Cartagena minionych wieków. Widząc silne mury otaczające miasto, przypominaliśmy sobie, ile razy bez wszelkiego skutku bywała zwalczaną.

Wchodząc do portu podziwialiśmy twierdze stojące na wiecznej warcie miasta; starożytne mury wobec postępu sztuki żeglarstwa i sztuki wojskowej, nie dają jej już tej pewności co w dawnych czasach.

Cartagena jest połączona koleją z miastem *Calamar*, portem na rzece Maddalena, dlatego chcieliśmy skorzystać z okazyi, ażeby oszczędzić kieszeń i zyskać na czasie; lecz arcybiskup, wielki dobroczyńca salezyański, odradzał nam tego, ponieważ parę dni temu pociąg został dwa razy zatrzymany przez bandy zbójeckie i zrabowany, przyczem nie obeszło się bez ofiar ludzkich. Odprawiwszy przeto Mszę św. i wypiwszy filiżankę kawy, udaliśmy się do Barranquilla, ażeby stąd inną drogą dostać się do Calamar. Na pokładzie rozmowa była czysto wojskowa, gdyż znajdowało się pomiędzy nami kilku jenerałów z Kolumbii, a między nimi jenerał Tanco, mający za sekretarza syna obecnego prezydenta.

Barranquilla jest to miasteczko pięknie ułożone i mające przed sobą piękną przyszłość z powodu wyśmienitej pozycyi. Nasi są tu wielce lubieni a ludność spodziewa się, że prędko ukończą wspaniały kościół, przy którym praca od paru lat została zawieszona.

Na Rio Maddalena. — Tortura komarów.

Nadzwyczajny upał w Barranquilli wpłynął szkodliwie na stan zdrowia ks. Albery; lecz ponieważ on wiele na to nie zważał, korzystamy ze statku odjeżdżającego do Honda. Znajdujemy się więc na rzece Maddalena; jest to największa i najważniejsza rzeka Kolumbii; wpada do niej przeszło 500 rzek mniejszych i przez 950 km. jest żeglowna. Przepędziliśmy na niej 18 dni, których jednakowoż nie mogę nazwać pomyślnymy. Nie cierpimy tu choroby morskiej, podróż więc miałaby być ulgą i może kiedyś nią będzie. Lecz obecnie parowce paląc drzewem, zatrzymują się co trzy lub cztery godziny ażeby się zaopatrzyć w drzewo, a tymczasem podróżni umierają z gorąca. Najwięcej dają nam jednak do czynienia komary, które nas ciągle napadają i kłują tak, że mamy twarz i ręce strasznie napuchłe. W nocy parowiec z powodu braku wody w rzece staje, i wtedy niepodobna obronić się komarom. Mamy wprawdzie zasłony, które miałyby nas zabezpieczyć, ale na nic nam nie służą. Brzęczenie spowodowane przez ich wielką ilość, nie pozwala zasnąć; ukłucie przechodzi ubrania i jest nieznośne. W czasie słoty zdają się wścieklejsze i sprawiają ból o jakim trzebaby się na miejscu przekonać! Komary jakie nas dręczyły w czasie dwudziestotrzydniowej podróży do Matto Grosso, w porównaniu do tych zdawały nam się muchami. Miałem rany na całem ciele; nogi okryły się jedną wielką raną, z której musiałem się leczyć przez cały miesiąc w Bogotá. Zapewnie ból uszu, na który przez trzy miesiące cierpiałem, był pamiątką komarów, które jednem słowem są prawdziwą torturą. Pewien misyonarz mawiał, że byłoby lepiej być rozszarpanym przez lwa, niż być tak dręczonym przez komary; ja chciałbym uniknąć jednego i drugiego losu, twierdzę tylko, że do wielu rzeczy można się przyzwyczaić, ale nie do kłucia komara; te 18 dni przepędziliśmy w wielkiem cierpieniu. Roztargnęły nas nieco krokodyle, które z paszczą otwartą odpoczywały na słońcu na brzegach. Niektórzy z pasażerów strzelali do nich dla rozrywki, lecz kule odbijały się od ich skóry i służyły im tylko za przestrogę, że bezpieczniej było dla nich zanurzyć się w wodzie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MISYE SALEZYAŃSKIE

BRAZYLIA.

Z S. Paolo do Matto Grosso.

(Sprawozdanie X. Antoniego Malana).

(Dokończenie).

Miasto Goyaz. — Gorliwość OO. Dominikanów. — Uroczystość Bożego Ciała w Registro Araguaya. — Ku kolonii Najsł. Serca.

Goyaz leży w zielonej dolinie otoczonej górami *Monti Dorati*, z których najwyżej strzela ku niebu szczyt *Cantagallo*. Na pierwszy rzut oka okolica wydaje się smutną i pogrążoną w niemiłym cieniu, lecz w istocie jest wspaniała i bardzo zdrowa, a o chorobach epidemicznych niema tu mowy. Teren jest falisty, lecz drogi wybrukowane płytami kamiennemi bywają utrzymywane w dobrym stanie; wartki i przezroczysty strumień płynie środkiem miasta. Handel i przemysł są bardzo ograniczone z powodu wielkich trudności komunikacyjnych. Istnieje tu akademia prawa i żeńskie seminaryum nauczycielskie.

W czasie siedmiodniowego pobytu w *Goyaz* doznałem najszczerszego i grzecznego przytułku u OO. Dominikanów, którzy tu od lat 22 poświęcają swe życie dla dobra ludności, rozdzielając hojnie po miasteczkach i wioskach chleb duchowny a często także i materyalny.

Wiele zacnych osobistości stolicy nalega o założenie zakładu rzemieślniczego a prezydent stanu, p. Ksawery d'Ameida, chce nas koniecznie nakłonić do przyjęcia misyi wśród Indyan *Carajás*, bardzo licznych w stanie Goyaz. Pomimo że mi obiecywał wielką pomoc i opiekę, musiałem z przykrością oświadczyć, że chwilowo uskutecznienie tego projektu jest najzupełniej niemożliwe. Musiał więc p. prezydent poprzestać na nadziei, że urzeczywistnienie jego zamiarów nastąpi wtedy, gdy Opatrzność Boska przyśle nam większą ilość misyonarzy.

Dnia 26. maja siedzieliśmy już o świcie na kulbakach wypoczętych mułów, a pierwszego dnia miesiąca poświęconego Najsł. Sercu Jezusowemu stanęliśmy w *Registro do Araguaya*. Podróż była pomyślna i bardzo korzystna dla wielu osadników, którzy rzadko widują kapłana katolickiego, ale zato często bywają odwiedzani przez ministra protestanckiego, utrzymywanego przez Towarzystwo biblijne.

Przyjęcie, jakie nam w Registro zgotowano, było tak serdeczne, że zdawało nam się, iż jesteśmy u celu naszej długiej podróży. Było to w wigilię Bożego Ciała. Ludność prosiła mnie, abym przemówił i słuchał spowiedzi. Niech sobie Czcigodny Ojciec wyobrazi, co to za radość dla misyonarza! Poszedłem do kapliczki i znalazłem w niej przeszło 200 osób.

Nazajutrz wysłuchali Mszy św. i sprawili wielką przyjemność Boskiemu Sercu, przystępując licznie do Stołu Pańskiego i przynosząc do chrztu swe dzieci. Z radością w sercu skierowaliśmy się ku kolonii Najsł. Serca Jezusowego.

Spotkanie Ks. Balzoli. — Przyjęcie Indyan. — Egzamin dzieci. — Uroczystość Najsł. Serca. — 55 chrztów. — Nadzieje.

Przebywszy w krótkim czasie 22 mile, spotkaliśmy ks. Balzolę, zasłużonego Apostoła Indyan Coroadosów. W jego towarzystwie ośmiomilowa jazda wydała nam się bardzo krótką, bo byliśmy zajęci jego ustnem sprawozdaniem, które całkowicie pochłaniało naszą uwagę, krzepiąc ducha i zmęczone ciało.

Byliśmy już tylko o kilometr oddaleni od naszego *arraiol*, gdy powitało nas przeszło 30 dziewcząt pod przewodnictwem Sióstr Najśw. Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych. Trochę później doszedł naszych uszu dziki krzyk chłopaków prowadzonych przez kleryków Crema i Bernardino. Za nimi zjawiło się czterech dowódców otoczonych krzyczącymi dzikusami, a w końcu przedstawiły się niewiasty.

Weszliśmy nareszcie na główną drogę prowadzącą do *arraial* Najsł. Serca. Po bokach napotykaliśmy na wieńce, festony i inne ozdoby. Przed i poza nami wznosiły się okrzyki: „Niech żyje!“ « Czy znajdujemy się wśród dziczy a nie w mieście cywilizowanem? » To pytanie nieraz sobie zadawałem, dziękując ze łzami w oczach Najśw. Sercu Pana Jezusa za hojne błogosławieństwa udzielone naszym misyonarzom. Weszliśmy do kaplicy i z sercem wzruszonem i pełnem wdzięczności zaśpiewaliśmy: „Ciebie, Boże, chwalimy.“



Matto Grosso. — Dziewczynki Indyan Bororos, ochrzczone przez X. Malana dnia 12. czerwca 1904 r.

Nazajutrz rozpoczęto tryduum, jako przygotowanie do uroczystości Najsł. Serca, którą chcieliśmy obchodzić ze szczególną wspaniałością. Z nabożeństwem słuchali wszyscy kazania, po którem następowało błogosławieństwo Najśw. Sakramentem.

Wyegzaminowałem dziewczęta wychowywane przez Siostry Najśw. Wspomożycielki i miłych *bugrinhos* kształconych w szkole naszych współ-

braci. Egzamin obejmował religię, śpiew pieśni kościelnych, czytanie, pisanie i rachunki. Jeszcze mnie żadne egzamina tak nie zadowoliły; postęp tych dzieci przewyższył moje oczekiwanie.

W jednym roku nauki (i to tylko w chwilach wolnych od zajęć) nauczyli się na pamięć modlitw: Uwielbiam Cię o mój Boże, Ojcze nasz, Zdrowaś Maryo, Wierzę, Witaj Królowo, Aniele Boży, Przykazania boskie i kościelne; wyuczyli się różnych pieśni kościelnych i nabyli niemałej wprawy w czytaniu, pisaniu i działaniach arytmetycznych na liczbach aż do sta...

Nadszedł nareszcie dzień 10go czerwca, uroczystość Najśw. Serca Pana Jezusa. Na środkowym placu kolonii powiewała na ośmnastometrowym słupie chorągiew narodowa i już o świcie rozlegały się po osadzie radosne okrzyki dzikusów, którzy po raz pierwszy uczuli się z wielką dumą synami ojczyzny brazylijskiej...! Były to pierwsze uczucia patryotyczne, budzące się w sercach kształconych według zasad cywilizacyi chrześcijańskiej.

Mszy św. wysłuchali wszyscy cywilizowani i Indyanie. Po ofierze św. udzieliliśmy chrztu 29 chłopakom indyańskim, odkładając na 12. stycznia (uroczystość Najśw. Wspomożycielki) chrzest 26 dziewcząt. Z jak przykładnem skupieniem przyjęli ten sakrament. Pojmowali doskonale jego skutki i mówili, że *Bope* (szatan) już się od nich oddalił i w dalekie uciekł kraje!... I tak byli o tem przekonani, iż niektóre dzieweczki życzyły sobie zostać ze Siostrami, aby już nie popełniać grzechów i nie dopuścić, by *Bope* ponownie w ich dusze wstąpił. Inne były przejęte takim szacunkiem dla tego sakramentu, że pytały się, czy wolno się dotykać głowy skropionej wodą sakramentalną. Rodzice nowoochrzczonych podzielali radość swych dzieci i dali do zrozumienia, że i oni pragną dostąpić tej łaski. Uczynimy zadość ich życzeniom, skoro tylko będą przygotowani.

Tydzień spędzony w kolonii zapisał mi się niezatartemi głoskami w pamięci. Odwiedziłem Indyan po chatach, towarzyszyłem im przy zbieraniu fasoli i mandioki, przy ładowaniu kamieni, piasku i budulca i przy wszystkich pracach domowych, jak n. p. przy suszeniu, czyszczeniu i mieleniu mandioki na mąkę.

Indyanie zajmują się stolarstwem, mularstwem i rolnictwem. Niedawno p. Viriato wynajął trzech do uprawy swej roli, a pomocnik i przyjaciel nasz p. dr. Santos zażądał innych trzech do trzebienia lasu. Trzech towarzyszyło nam do Cuyabá a jeden z nich, chłopiec nowoochrzczony zadziwił niemało prezydenta stanu i wszystkich tych, którzy mogli stwierdzić jego postępy w czytaniu, pisaniu, śpiewie i rachunkach. Powrócą oni di misyi z ks. Bolzolą, który przyszedł ze mną do Cuyabà.

Oto, Czcigodny Ojcze, wiadomości o naszej kolonii. Możemy być rzeczywiście zadowoleni! Teraz, gdy z pomocą nieba i naszych Przezacnych Pomocników dzieci sprowadzone zostały na dobrą drogę, weźmiemy się do dorosłych. Trzeba ich nauczyć wiary św., ochrzcić jak najprędzej i uregulować ich związki małżeńskie, czego sobie wszyscy gorąco życzą.

Pole pracy jest obszerne. Tylu nieszczęśliwych dzikusów oczekuje głosu misyonarza, aby ujrzeć światło cywilizacyi, upaść na kolana przed świętym krzyżem i należeć do narodów, które pod przewodnictwem Najwyższego Pasterza czczą jedynego prawdziwego Boga! Lecz brak i misyonarzy i środków materyalnych. Polecamy się zatem Twoim gorącym modlitwom i prosimy o przysłanie nowych robotników do tej ogromnej winnicy oraz o przemówienie do naszych Pomocników, by nie zapominali o pracach i trudach, jakie ponosimy na korzyść religii i cywilizacyi.

Proszę o błogosławieństwo dla wszystkich Salezyanów w Matto Grosso a przedewszystkiem dla członków kolonii Najśw. Serca.

Zawsze wdzięczny w Chrystusie

Ks. Antoni Malan.

(List Ks. Jana Balzoli).

Barreiro, Kolonia Najśw. Serca, 1go sierpnia 1904.

Czcigodny Ojcze!

Niech żyje Najsł. Serce Jezusa! Po odjeździe ks. inspektora Malana wszystko szło regularnie swoim trybem. Wizyta ks. inspektora wpłynęła bardzo korzystnie na kolonię tak pod względem duchownym jak i materyalnym. Nawet ja z niej skorzystałem, bo odprowadzając ks. Malana do Cuyabà, roztargnąłem się nieco i po 30 miesięcznem uwięzieniu w głębi puszczy zobaczyłem znowu trochę świata cywilizowanego. Wiele uzyskaliśmy przez to, że wzięliśmy ze sobą Indyanina Michała Magone, trzynastoletniego chłopaka, ponieważ takim sposobem

władze mogły się przekonać o zdolnościach Indyan i o ich rychłem przyswajaniu sobie wychowania cywilnego i chrześcijańskiego.

Po kilkudniowym odpoczynku wśród naszych drogich współbraci, otrzymawszy nieco pomocy, powróciliśmy do naszej kolonii. Podczas mej podróży doszła mnie smutna wiadomość, że Indyanie z powodu mego spóźnienia się prawie wszyscy byli kolonię opuścili. Myślałem sobie że nie trudno będzie ich zwołać, ale szkody mogły być swoją drogą wielkie, gdyż był już największy czas, aby przygotować ziemię do zasiewu. Atoli Najśw. Serce wszystko umiało obrócić na swą chwałę i na dobro tych biednych dzikusów. Skorzystali oni z mojej nieobecności tylko w tem, aby sobie urządzić dłuższą wędrówkę po lasach i zażyć wolności, tułając się po kniejach i zajmując się piętnaście dni polowaniem i rybołówstwem, ale tylko wzdłuż linii telegraficznej. Gdy się dowiedzieli o moim powrocie do kolonii, także i oni wszyscy wrócili. Wyobrażałem sobie, że znajdę same pustki, a tymczasem zastałem kolonię zupełnie zaludnioną i doznałem serdecznego przyjęcia. Na zajutrz przedstawili mi się do jednego i prosili, abym im pozwolił wyciąć kawał lasu celem powiększenia terenu pod uprawę.

Kilka dni później otrzymaliśmy miłą wizytę dyrektora telegrafu Matto Grosso, Pana Eliasza, Machado. Ponieważ pan ten miał oczyścić drogę przez którą ciągnie się linia telegraficzna, odstąpił nam tę pracę na przestrzeni długiej 35 km. a szerokiej dwadzieścia metrów. Tym sposobem biedni Indyanie mogą sobie coś zarobić, przyzwyczajają się do pracy i poczynają oddawać pewne usługi ojczyźnie. Pracujemy więc z wytężeniem. Zdaje mi się, że nie podoba się to szatanowi, bo zawsze mi coś niemiłego przygotowuje.

Drugiego dnia pracy kazałem okulbaczyć konia, ażeby pójść odwiedzić robotników. Był to koń, na którego miałem wsiąść po raz pierwszy; gdy się zbliżyłem do niego, tak mnie kopnął w twarz, że zemdlałem i upadłem na ziemię. Zanieśli mnie do domu, gdzie po dwóch godzinach odzyskałem przytomność, ale nie pamiętałem nic o tem, co mi się było przydarzyło. Dzięki Panu Bogu zostały skaleczone tylko usta i nos, zęby zaś i oczy ocalały; rany mogły być o wiele poważniejsze. Odniosłem tylko kontuzye i utraciłem nieco krwi, tak że nazajutrz siedziałem znów na koniu i doglądałem robót publicznych. Mając oczyścić 35 kilometrów drogi, zdaje się, że będę potrzebował wiele czasu, ale spodziewam się, że 25 ludzi ukończy mi tę pracę w dwóch tygodniach.



Trzej Indyanie którzy towarzyszyli misyonarzom do Cuyabá.

Szukamy wszelkich środków, aby wspomagać tych nieszczęśliwych, lecz nie często zdarzają się takie sposobności. Wszystko zależy od dobroci Boskiej, która zapewne nie przestanie przemawiać do serc naszych uczciwych Pomocników. Oh! gdybyśmy mogli otrzymać kilku misyonarzy i więcej pomocy materyalnej, byłoby to dla nas wielką korzyścią. Najśw. Marya Wspomożycielka niech nas wspomaga i niech się nami opiekuje w tej trudnej misyi, abyśmy mogli zbawić jak najwięcej dusz.

Przyjmij, Czcigodny Ojcze, nasze najserdeczniejsze i najszczersze pozdrowienia, które przesyłamy również innym naszym Przełożonym, błagając ich o modlitwy za misyę.

Wdzięczny syn w Chrystusie

Ks. Jan Balzola.

⁂



Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan.

PIUS X.

Pomoc Maryi w procesie.

Idąc za popędem serca przepełnionego szczerą wdzięcznością oraz wykonując obietnicę, składam publiczne podziękowanie Najśw. Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za cudowne wybawienie mnie z nader poważnego kłopotu.

Oto żydzi, przy pomocy złych ludzi, rzucili na mnie straszne oszczerstwo, chcąc mnie w ten sposób chleba pozbawić. Kłamliwe zeznania synów Izraela w sądzie, poparte złośliwem orzeczeniem lekarza również żyda, groziły mi dostaniem się za kratki. W tem rozpaczliwem położeniu posłałem do WW. XX. Salezyanów w Oświęcimiu skromną ofiarę z prośbą o Mszę św. i modlitwy za mną, gdyż jako oskarżony najskuteczniejszym środkiem (t. j. przysięgą) bronić się nie mogłem. W trwodze mijały tymczasem dni i jedynie nadzieja, że Marya sługi Swego i czciciela poniżyć nie pozwoli, utrzymywała mój umysł w równowadze.

I oto cud! — 11. sierpnia b. r. otrzymuję dwa listy: pierwszy od znajomego z zawiadomieniem, że sąd uwolnił mię od wszelkich zarzutów; drugi z Oświęcimia z doniesieniem, iż Msza św. się odprawiła i że odmówiono modlitwy według mej intencyi. Był to dla mnie najoczywistszy dowód, że za przyczyną Niepokalanej Wspomożycielki Wiernych zostałem cudownie obroniony i niewinność moja wyszła na jaw.

Zachęcony tym widocznym objawem opieki Matki Boskiej nade mną, zasyłam powtórnie mały datek na odprawienie błagalnej Mszy św. do Najśw. Wspomożycielki w celu pomyślnego załatwienia bardzo ważnej dla mnie sprawy.

Skałat (Galicya), 4. 10. 1904.

Jan Domiszewski.

***

Przed kilku tygodniami pisałam do WW. Księży prosząc o modlitwy na kilka intencyi. Otóż jedna z nich — dotycząca brata mego który miał iść na wojnę na daleki Wschód — została wysłuchana i brat pozostał spokojnie w domu. Posyłam więc z wdzięczności ku Maryi Wspomożycielce 10 rubli na Zakład oświęcimski i proszę o podanie tego do *Wiadomości Salezyańskich*.

Królestwo Polskie, 9. listopada 1904 r.

M. Florkowska.

***

W październiku matka moja zachorowała ciężko na zapalenie płuc i lekarz stracił już wszelką nadzieję utrzymania jej przy życiu. Lecz ja, pamiętając o tem, iż Najświętsza Marya Panna jest najlepszą Lekarką, udałam się do Niej z prośbą o przywrócenie zdrowia mej matce. W tym celu odmówiłam nowennę do Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych i przyrzekłam ogłosić ten cud w ,,Wiadomościach Salezyańskich.'' Modlitwa moja została łaskawie wysłuchana i obecnie matka moja cieszy się zupełnem zdrowiem.

Czyniąc więc zadość danemu przyrzeczeniu, przejęta głęboką wdzięcznością ku Najświętszej Maryi Pannie za doznaną łaskę, składam Jej moje najserdeczniejsze podziękowanie i załączam mały datek na odprawienie Mszy św. dziękczynnej przed cudownym obrazem Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych.

Tyśmieniczany (Galicya), 5. 12. 1904.

Józefa Nowemberska.

***

Składam publiczne podziękowanie Najsło-

dszemu Sercu Jezusa i Najśw. Maryi Wspomożycielce za otrzymane łaski. Gdy synek mój był chory, udałam się w tem zmartwieniu do Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, przyrzekłam złożyć na Jej cześć ofiarę i wkrótce zostałam wysłuchana. Również w drugiej ważnej sprawie Matka Boska Wspomożycielka okazała nam Swoją wielką dobroć i prośbę moją wysłuchała.

Poznań, dnia 13go grudnia 1904 r.

WALENTYNA ZEYLANDOWA.

* * *

Marya Wspomożycielka przywróciła mi zdrowie.

Z sercem przepełnionem wdzięcznością spieszę publicznie podziękować Lekarce niebieskiej Maryi za przywrócenie mi zdrowia. Popadłszy w chorobę i doznając dotkliwego bólu na całem ciele, oraz kłucia pod piersiami, pozostawałem w wielkiem przygnębieniu, gdyż żyjąc z pracy rąk, nie mogłem zarabiać na utrzymanie całej rodziny. W tym smutku nie zapomniałem o Tej, która jest prawdziwą Pocieszycielką utrapionych i Lekarką chorujących, dlatego też do Niej z wiarą podniosłem me serce, ufając mocno, że z tej choroby Ona mnie raczy podźwignąć. Rozpocząłem zarazem odprawiać nowennę do Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, oraz ślubowałem wyspowiadać się, przyjąć Komunię św., dać na mszę i ogłosić tę łaskę w ,,Wiadomościach Salezyańskich.'' I Matka Najświętsza raczyła mię wysłuchać. Dlatego to z wdzięcznością wywięzuję się z mego przyrzeczenia i załączam skromną ofiarę na dziękczynną Mszę św. przed ołtarzem Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych.

Żurawno (Galicya), 23. 12. 1904.

ANTONI KAFLOWSKI
Pomocnik Salezyański.
Potwierdza: KS. A. ZAMAZAL.

* * *

Syn mój Franciszek zachorował tak ciężko na zapalenie i tak był słaby, że lekarz powątpiewał zupełnie o jego wyzdrowieniu. Wtenczas udaliśmy się z wielką ufnością o pomoc do Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych, ślubując jednocześnie, że jeśli chory wyzdrowieje, ogłosimy to publicznie w *Wiadomościach Salezyańskich*. Synowi zaraz się polepszyło, a niebawem zupełnie przyszedł do siebie.

Dotrzymując przeto danego słowa, przesyłam w imieniu rodziny 4 korony na odprawienie Mszy św. dziękczynnej do Najśw. Wspomożycielki Wiernych i upraszam o zamieszczenie tego liściku w organie Związku Pomocników salezyańskich.

Lubla (Galicya), 9, 12. 1904.

TOMASZ CZERNICKI.

* * *

W czerwcu wydawszy na świat córeczkę, zachorowałam po tygodniu bardzo niebezpiecznie na zapalenie wewnętrzne. Lekarze nie mieli żadnej nadziei utrzymania mnie przy życiu, tem bardziej że całe ciało moje pokryło się pryszczlami i okazało się koniecznem, bym się poddała nader ciężkiej i trudnej operacyi. Zanim ta się odbyła, poleciłam się Najświętszej Maryi Pannie Wspomożycielce i Najsł. Sercu Jezusowemu, przyrzekając, że jeśli operacya moja uda się szczęśliwie, złożę publiczne podziękowanie w salezyańskiem czasopiśmie. Otóż Najsł. Serce Jezusowe za przyczyną Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych ulitowało się nade mną, tak że już po tygodniu ku uciesze mojej i mej rodziny mogłam, po czterech miesiącach, opuścić łoże po raz pierwszy, a dzisiaj cieszę się zdrowiem zupełnem.

Za tę, jako i za dwie inne łaski dawniej otrzymane, niech będzie cześć, chwała i podziękowanie Panu Jezusowi i Jego Matce Przenajświętszej po wszystkie wieki.

MARYANNA BIENIASZEWSKA.

Zaświadczam niniejszem, że P. M. Bieniaszewska z Nowegomiasta w Prusach Zachodnich, wskutek połogu niebezpiecznie zachorowała. Dzięki jednakże łasce Najsłod. S. J. i po szczęśliwej operacyi dziś jest zupełnie zdrowa.

Nowemiasto (Prusy Zachodnie), 29. 11. 1904.

KS. SCH. DZIEK.

* * *

Roku 1903. prosiłam o odprawienie Mszy św. i modlitwy wychowanków Zakładu Ks. Bosko w Oświęcimiu w celu wyjednania zdrowia dla mego ciężko chorego męża. Obiecałam przytem, że jeśli Najśw. Panna Marya wysłucha mej prośby i chory wyzdrowieje, ogłoszę to w Wiadomościach Salezyańskich i prześlę na Mszę św. dziękczynną. Prośba moja została po niedługim czasie wysłuchana, za co z wdzięcznością składamy najpokorniejsze dzięki, jak niemniej za uzdrowienie dzieci i za inne otrzymane łaski.

Załączamy datek na odprawienie Mszy św. przed obrazem Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, i prosimy o błogosławieństwo dla całej rodziny na dalszy bieg życia.

Wadowice górne (Galicya), 21-12-1904.

K. O. ANDERSOWIE.

*
* *

Wysłuchanie prośby.

Przez dłuższy czas cierpiałem na słabość mięsa sercowego i płucowy katar, co mi przeszkadzało wstąpić do zakonu. W tem mojem utrapieniu prosiłem Najsł. Serce Jezusowe i Najśw. Maryę Pannę Wspomożycielkę o zdrowie, i obiecałem w razie dostąpienia tej łaski ogłosić w *Wiadomościach Salezyańskich.* Dziś, jak lekarze orzekli, jestem zdrów tak, iż się spodziewam zostać wkrótce przyjętym do zakonu.

Niechaj przeto będzie cześć, chwała i uwielbienie Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za tę i za inne łaski otrzymane.

Grzywna (Prusy Zachodnie).

Aleksander Jonatowski.

*
* *

Zeszłego roku zachorowałam ciężko na zapalenie płuc a moja córeczka na zapalenie oskrzeli i mało było nadziei, byśmy się mogły wyleczyć. Wtedy poleciłam siebie i chorą dziecinę dobrotliwej Lekarce Najśw. Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych. Córeczka moja wyzdrowiała niebawem zupełnie i do dziś dnia cieszy się najlepszem zdrowiem. Ja również odzyskałam dość szybko siły, lecz pomimo tego od czasu do czasu zapadam jeszcze na zdrowiu. Dlatego dziękując Najśw. Pannie za dobrodziejstwo wyświadczone mej córeczce, proszę przytem, by i łaskę mnie okazaną raczyła uczynić zupełną.

Jezierna (Galicya).

Anna Gardolińska.

*
* *

Matka Najśw. pomaga w wszelkiej potrzebie.

Ja i mąż mój pozostając w krytycznem położeniu i nie mając znikąd żadnej pomocy, udałam się pod Opiekę Matki Boskiej, Wspomożeniu Wiernych, przyrzekając Jej, że jeżeli nasze sprawy wkrótce na dobre się zmienią, to poślę na Mszę św. i ogłoszę o łasce otrzymanej w *Wiadomościach Salezyańskich.* Marya Wspomożycielka raczyła się do mych próśb miłościwie przychylić, gdyż w krótkim czasie po mojem przyrzeczeniu sprawy nasze jak najpomyślniej zostały załatwione i to nawet z wielką dla nas korzyścią.

Podczas świąt Bożego Narodzenia zachorowała niebezpiecznie moja matka i gdym ją ofiarowała Matce Boskiej Wspomożycielce, dobrotliwa Ta Lekarka chorych przywróciła jej niebawem dawniejsze siły i zdrowie.

Za te więc dobrodziejstwa z głębi serca dziękuję Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, i posyłam równocześnie skromny datek na odprawienie Mszy św. dziękczynnej do tejże Matki Najświętszej za wszystkie dobrodziejstwa, jakiemi nas dotąd obdarzyła.

Kraków, dnia 6. stycznia 1905 r.

Aniela Maramorosz.

*
* *

Dziękują Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Józef Baniecki, *Rakowice* (Prusy Zachodnie); Aniela Bielańska, *Turze* (Galicya); Zofia Birkenmajer, *Czernichów* (Galicya); Joanna Andres, *Matysówka* (Galicya); R. B., *Parchacz* (Galicya); Marya Garcarz, *Zaborze* (Górny Śląsk); Władysław Gizicki, *Rycerka dolna* (Galicya); Emilia H., *R...* (Górny Śląsk); Marya Hubert, *Kobylin* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Jakób i Sabina Dziurzyńscy, *Bieniawa* (Galicya); Katarzyna Karpierz, *Niedźwiedź* (Galicya); Władysław Kolankowski, *Lwów* (Galicya); Jędrzej Krystek, *Janów* (Galicya); W. K., *Borzygwerk* (Górny Śląsk); Walerya Litwińska, *Drohobycz* (Galicya); Marta Mayer, *Opalenica* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Józef Mączka, *Królówka* (Galicya); Zofia Pawlik, *Niedźwiedź* (Galicya); Władysław Polański, *Procisne* (Galicya); Ludwik Pyka, *Wilhelminyhuta* (Górny Śląsk); Jan Różański, *Radcza* (Galicya); Zofia Stańkowska, *Kańczuga* (Galicya); Albinowie Staszyńscy, *Kossów* (Galicya); Franciszek i Jadwiga Stojda, *Tarnów* (Galicya); Jan Złotko, *Królewska Nowawieś* (Górny Śląsk); Paulina Żymła, *Wodzisław* (Górny Śląsk).

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św., Urbana VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść niniejszego pisma wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*

Redakcya.

Wiadomości potoczne.

Europa.

OŚWIĘCIM — Uroczystość św. Franciszka Salezego. — Z wielką wspaniałością obchodzono 29 stycznia uroczystość św. Franciszka w zakładzie salezyańskim. Jak po inne lata tak i tego roku, nie zważając na czas niebardzo przyjemny, gromadka Górnoślązaków przybyła tu uczcić Najśw. Maryę Pannę Wspomożycielkę i tego wielkiego świętego, którego Salezyanie jako swego patrona czczą i zawsze uwielbiają z uniesieniem. Podczas rannych Mszy św. widzieliśmy wielu wiernych przystępujących do stołu Pańskiego; podczas Mszy św. wspólnej przystąpili taksamo i wychowankowie do Komunii św., ażeby spożyć ten Chleb Anielski, stanowiący źródło łask i błogosławieństwa. Sumę celebrował przew. Prałat i kanclerz biskupi ks. dr. Bandurski, który swoją obecnością i mową dowiódł, że miłuje szczerze dzieło salezyańskie, które pod wpływem błogosławieństwa Bożego rozszerza się na ziemi polskiej z wielką korzyścią naszej młodzieży. Czterogłosowy, potężny chór z towarzyszeniem orkiestry smyczkowej odśpiewał *Kyrie* i *Gloria* z Mszy *Benedicamus Domino* sławnego kompozytora muzyki kościelnej ks. Perosiego; *Credo, Sanctus* i *Agnus Dei* były śpiewane według melodyi gregoryańskiej. Podczas Mszy św. miał kazanie o św. Franciszku ks. Świerc, Salezyanin. Po nieszporach odbyła się zabawa dla naszych przezacnych Pomocników. Wychowankowie odegrali dramat p. t. „*Pistryny*" czyli ostatnie czasy pogaństwa w Rzymie. Dramat ten został już odegrany w wigilię uroczystości z wielkiem zadowoleniem obywateli i dobroczyńców miasta Oświęcimia. W samą uroczystość zaś zaszczyciła nas swą obecnością piękna gromadka Górnoślązaków. Wychowankowie odegrali swe role z tak pomyślnym wynikiem, że sztukę musiano jeszcze trzeci raz odegrać w następujący czwartek, w uroczystość Najśw. Maryi Panny Gromnicznej. Tak więc zakończyło się to wspaniałe święto rodziny Salezyańskiej, utrzymującej się z ofiar składanych przez naszych dobrodziejów. Jesteśmy pewni, że w przyszłości będą jeszcze wspanialsze te święta, jeżeli nasi Pomocnicy nie zapomną o świątyni teraz jeszcze pustej, gołej i pozbawionej wielu rzeczy, któreby mogły spotęgować w sercach wszystkich wiernych nabożeństwo i gorliwość chrześcijańską.

GORYCYA (Austrya). — **Inauguracya konwiktu św. Alojzego.** — Zakończenie świąt jubileuszowych ku czci Niepokalanej odbyło się w Gorycyi dnia 11. grudnia z. r. w sposób uroczysty i wspaniały inauguracyą pięknego konwiktu św. Alojzego. J. E. Najprzew. książę-arcybiskup poświęcił budynek i udzielił w nowej kaplicy pierwszego błogosławieństwa Przenajśw. Sakramentem. O godz. 4 otworzono obszerny gmach, w którym miała mieć miejsce uroczystość inauguracyjna i w bardzo krótkim czasie zebrał się tamże wielki tłum ludu. Całe miasto było godnie reprezentowane, począwszy od bogaczy i wielkich panów, a skończywszy na ubogich i robotnikach. W głębi sali widniała statua Niepokalanej, otoczona zielenią i kwiatami pięknie rozmieszczonemi, naprzeciwko zaś stały fotele dla władz i przedniejszych gości.

O godz. 4 1/2 przy śpiewie antyfony *Sacerdos et Pontifex*, wykonanej ze współudziałem kapeli salezyańskiej z Tryestu, wszedł do sali Najprzew. książę-arcybiskup, który zajął miejsce na fotelu honorowym; po bokach zasiedli J. E. baron Albin Teuffenbach; prezes baron Winkler; burmistrz dr. Karol Venuti; radca dworu Sbisà; konsul generalny De Bagner; baron Baum w zastępstwie p. hrabiego Attems, który nie mógł przybyć, gdyż bawił w Wiedniu; pułkownik Hnatek; pp. Kuchacevich i Zörrer; dyrektor szkół królewskich p. Gassner; substytut prokuratora stanu p. Jeglić; a w końcu XX. prałaci, kanonicy, proboszczowie, profesorowie i t. d. Licznie przedstawioną była również płeć piękna: widziano tam damy z arystokracyi, panie ze stowarzyszeń katolickich oraz inne niewiasty w nader pokaźnej liczbie.

Z przemowami wystąpili wiel. X. dr. Józef Allavena, rektor konwiktu miejskiego w Este; prof. Fryderyk Simsig, dyrektor c. k. gimnazyum; dr. kaw. Alojzy Pontoni; przew. mons. Alpi; przew. mons. Faidutti i przew. X. Mojżesz Veronesi, inspektor domów salezyańskich w Austryi. Ten ostatni podziękowawszy władzom i obecnym, a głównie przew. monsignorowi Alpi'emu, którego gorliwości należy przypisać powstanie dzieła salezyańskiego w Gorycyi i budowę nowego konwiktu, powitał wszystkich w imieniu ks. Ruy, przyczem wyraził nadzieję, że dzieło salezyańskie, pobłogosławione przez Niepokalaną Dziewicę i przez Najprzew.

księcia-arcybiskupa, będzie się rozwijało coraz pomyślniej dla dobra religii i społeczeństwa.

SLIEMA (Malta). — **Szkoły przemysłowe św. Patrycyusza.** — Do wiadomości łaskawych Czytelników podajemy krótki opis miłych uroczystości, jakie się przy końcu ubiegłego roku odbyły w zakładzie salezyańskim na wyspie Malcie.

Z okazyi Bożego Narodzenia jeden z obszernych salonów budynku został zamieniony na wspaniały żłóbek. W wigilię uczniowie, przebrani za pastuszków, z towarzyszeniem organu śpiewali różne kolędy, oddając w ten sposób hołd boskiemu Pacholęciu. W trzecie święto zaś p. Franciszek Reynolds, dniczył dostojny p. dr. Nandi, adwokat koronny. Ponieważ nie rozesłano zwykłych zaproszeń, dlatego tylko kilku przyjaciół było obecnych, tych właśnie, którym dobrobyt zakładu najbardziej leży na sercu. Z pomiędzy nich zasługują na szczególne wspomnienie p. poseł Ryszard Micallef, kontroler zakładów miłosierdzia; przew. X. dr. Alojzy Farrugia, prałat domowy J. Św. i dyrektor dyecezyalny pomocników salezyańskich (któremu zakład salezyański na Malcie ma bardzo wiele do zawdzięczenia); przew. X. kanonik Formosa; przew. X. dr. Paweł Galea, rektor seminaryum arcybiskupiego; pani Clapp i panna Zammit; p. markiz Testaferrata Olivier; pani Fullicino; p. sędzia De-Bono; państwo Alfonsowie



Sliema-Malta. — Uczniowe szkół przemysłowych św. Patrycyusza.

inspektor elementarnych szkół rządowych, zapomocą latarki czarnoksięzkiej illustrował podróż, którą król angielski Edward VII. odbył podczas ostatniego swego pobytu na Malcie, co ubawiło niezmiernie wychowanków. Nazajutrz p. Alfons M. Galea zaprosił chłopców do swego domu, gdzie p. Gardner Brown swoim cinematografem a p. baryton Gulliver swym śpiewem urządzili im nader rozkoszny wieczorek. Najpiękniejsze atoli święto, zaszczycone obecnością wielu zacnych osobistości, miało miejsce 4. stycznia b. r. Dziennik *Daily Malta Chronicle* tak się o niem wyraża:

«Jego Ekscellencya Najprzew. X. arcybiskup Pace w zeszłą środę zaszczycił swą obecnością szkoły przemysłowe św. Patrycyusza, gdzie łącznie z małą wystawą prac wykonanych przez wychowanków tegoż zakładu odbyło się rozdanie nagród. Przewo-Galea; panna Asphar; p. J. F. Asphar; państwo Regnoldo, Bonavia i Borg-Cordona; pani Barry; p. komendant Kent; pani Sammut i t. d. Wystawa była miłą niespodzianką dla przybyłych i to tem milszą, że jej się wcale nie spodziewano. Istotnie zdaje się niemożebnem, by chłopcy tak młodzi mogli, zaledwie po sześciu miesiącach nauki, przedstawić prace, które, jeśli nie wszystkie, to przynajmniej w większej części wydawały się doskonałe...

«Gdy następnie przeszli goście do osobnej sali, dwu chłopczyków odczytało krótki, lecz czuły adres po angielsku i po włosku, poczem rozpoczął się wieczorek muzyczno-deklamacyjny ku czci boskiego Dzieciątka. Przed wspaniałym i artystycznym żłóbkiem kilku wychowanków ubranych za pastuszków trzymało na uwięzi uwagę wyborowych słuchaczy, zajmując ich coraz to bardziej żywością i dzielnością,

z jaką deklamowali poezye i dyalogi i śpiewali różne pieśni okolicznościowe. Wykazali przez to, że w zakładzie który im daje schronienie, nauka języka rządowego i krajowego stoi na równi z ćwiczeniem się w odpowiednim zawodzie.

« Nastąpiło rozdanie nagród. Pan poseł dr. Nandi wręczał każdy podarek najpierw. ks. arcybiskupowi, a ten oddawał go potem odnośnemu właścicielowi, przez co cała ta ceremonia przybierała w oczach chłopców znaczenie coraz to poważniejsze. Podarki polegały (prawie wszystkie) na zasiłkach pieniężnych, których dostarczyło kilka serc litościwych. Przy tej sposobności zwrócił się pan poseł do obecnych z nader wykwintną przemową, wyrażając swą radość z powodu wielkiego postępu, jaki zakład uczynił w tak krótkim czasie swego istnienia. Chwalił również praktyczny sposób kształcenia, którego się Salezyanie w wychowywaniu młodzieży trzymają. Wymownym tego dowodem dzielność i swoboda, z jaką się chłopcy z swego zadania wywiązali. Także szanowny pan poseł Ryszard Micallef zwrócił się z kilku słowy pochwały i zachęty do wychowanków i do ks. dyrektora, który z swej strony wynurzył swą wdzięczność Najprzew. ks. arcybiskupowi za zaszczycenie zakładu swemi odwiedzinami; szanownym pp. posłom Nandi'emu i Micallefowi za wyrazy sympatyi; wszystkim paniom i panom za ich życzliwość, szczególnie zaś państwu Galea za bezustanne zajmowanie się zakładem przez niego kierowanym... »

Ameryka.

NICTHEROY (Brazylia). — **Uroczyste obchody na cześć Niepokalanej.** — Zakład salezyański w Nictheroy zdobył sobie bezsprzecznie pierwszeństwo pomiędzy temi kolegiami, które urządziły osobne nabożeństwa ku uczczeniu pięćdziesiątej rocznicy ogłoszenia dogmatu o Niepokalanem Poczęciu Matki Bożej. Świetność z jaką 8go każdego miesiąca lub w następną niedzielę odbywały się rozmaite funkcye kościelne u stóp wspaniałego pomnika Maryi Wspomożycielki, o których pisaliśmy już kilkakrotnie na tem miejscu, wzmagała się coraz to bardziej dla zawsze nowego zapału i dla coraz to liczniejszego napływu pątników. Najprzew. X. arcybiskup z Rio Janeiro wyraził z tego powodu swą radość tamtejszym naszym współbraciom następującym listem:

Do Wielebnych XX. Salezyanów.

Śledziliśmy z niewymownem zadowoleniem wspaniałe obchody, urządzane przez WW. XX. Salezyanów dnia 8. każdego miesiąca w celu uczczenia chwalebnej daty ogłoszenia dogmatu o Niepokalanem Poczęciu Maryi. Jest to dzień iście uroczysty ten, w którym czcigodni Księża zbierają i prowadzą do pomnika Najśw. Wspomożycielki w Nichteroy gęsty zastęp wiernych wszystkich stanów, aby tamże wynurzyli u stóp Maryi gorące uczucia swych serc synowskich i obsypali niepokalane łono Matki Bożej woniejącymi kwiatami swych dusz, pełnych wiary. Nie umielibyśmy doprawdy powiedzieć, czy w jakiej innej części świata katolickiego upamiętnia się z taką pobożnością, z takim współudziałem wiernych i z taką świetnością ową datę chwalebną w dniu 8. każdego miesiąca.

Cześć zatem godnym synom Maryi Wspomożycielki, którzy w tak świetny i wspaniały sposób przyczyniają się do pomnożenia chwały Matki Bożej. Na nich oraz na ich zakład niechaj ześle obfitość Swych błogosławieństw Ta, która jest szafarką wszelkich łask niebieskich.

Niechaj przytem WW. Księża raczą przyjąć Nasze błogosławieństwo i Nasze szczere uznanie.

✠ JOACHIM, Arcybiskup.

BUENOS AIRES (Argentyna). — **Pan Juliusz Roca,** który przez sześć lat był prezydentem rzeczypospolitej argentyńskiej, ukończył przed kilku miesiącami swe urzędowanie. Wdzięczność wymaga, byśmy wyrazili niniejszem panu prezydentowi nasze szczere podziękowanie. Nasze misye w Argentynie były zawsze miłowane, protegowane i bronione przez dostojnego p. jenerała; nasze zakłady w stolicy gościły go kilkakrotnie w swych murach i uważały za pierwszego swego dobroczyńcę; nowa świątynia św. Karola na przedmieściu Almagro miała go za ojca chrzestnego; miejscowi przełożeni salezyańscy zaś znaleźli w nim zawsze serdecznego przyjaciela i doradcę.

Niżej podane słowa, napisane przez niego w październiku z. r. w Albumie przeznaczonym dla Najprzew. X. arcybiskupa Cagliero, wykazują znakomicie szlachetność jego duszy:

« *Z wielką przyjemnością*, mówi p. Jenerał, *uznaję wielkie i stałe usługi, oddane przez Najprzew. X. Arcybiskupa Cagliero wykształceniu naukowemu i przemysłowemu młodzieży argentyńskiej w ciągu przeszło 20-letniej Jego działalności.*

« *W mych podróżach i wycieczkach do ziem patagońskich, które X. Bosko wskazał swym uczniom jako obszerne pole pracy dla ich działalności cywilizacyjnej, natrafiłem na szkoły i kolegia salezyańskie nawet w miejscowościach najbardziej oddalonych i najwięcej pozbawionych wygód.*

« *Wysiłki i wytrwałość tych cnotliwych misyonarzy, kierowanych i zagrzewanych przykładem Najdostojniejszego X. Arcybiskupa Sebaste, godne są wdzięczności ludu argentyńskiego i każdej duszy szlachetnej.* »

IBAGUÉ (Kolumbia)—**Nowy zakład dla sztuk i rzemiosł.** — Piszą nam. « Ibagué jest stolicą departamentu Tolima. Wiel. X. inspektor domów salezyańskich

w Kolumbii podjął się otworzenia tutaj zakładu wobec nalegania ze strony władz kościelnych i cywilnych. Istotnie potrzeba, w jakiej znajduje się ta okolica, by się ktoś zajął wychowaniem młodzieży, jest więcej jedyną niż rzadką. Ostatnia wojna domowa zaczęła się, wzmogła i skończyła krwawo w tej prowincyi, pozostawiwszy same tylko zgliszcza i rumy. Dobrobyt znikł zupełnie: nieprzejrzane równiny, pokryte dawniej bujną zielenią, bydłem, końmi i owcami, zamieniły się obecnie na puste stepy; podróżny jedzie całemi godzinami bez napotkania żywej duszy; tu i ówdzie widać walące się chaty, wyrwane drzewa, zapadłe mury, zaniedbane folwarki. Jedynie chwasty rosną bujnie, może dlatego, że użyznione obficie krwią ludzką. W przeciągu 37-miu lat panująca groza zmiotła wszystkie bogactwa i zniweczyła handel. Ludzie zniewoleni byli uciekać się do tych dwu ostateczności: albo zaciągać się do wojska, albo kryć się po gęstych lasach i wystawiać się przez to na niebezpieczeństwo śmierci z głodu i wycieńczenia. Pod względem moralnym szło i idzie także teraz mniej więcej tak samo. Często się słyszy a także jest się świadkiem wypadków, które wzbudzają wielkie współczucie. Lecz temu wszystkiemu stara się już zaradzić nasz wysoki rząd, kierowany przez popularnego i znanego jenerała Rafała Reyes.

W czerwcu z. r. przybyło do tego miasta dwu Salezyanów w celu przygotowania nowego zakładu dla sztuk i rzemiosł, mającego się otworzyć według brzmienia umowy zawartej z rządem departamentalnym. Z pomocą Bożą zdołano nabyć grunt objętości 100+50 metrów z trzema domkami pokrytymi słomą. Kupno wynosi sto tysięcy pesos, czyli 5.000 franków. Dotąd zapłaciliśmy już część tej sumy; reszta zostanie zapłacona ofiarami, jakie się zbierają pomiędzy pomocnikami i wielbicielami dzieł X. Bosko. Jak wielu, naśladując wdowę z Ewangelii, dało z prawdziwem i szczodrem poświęceniem wszystko to, co posiadali! Związek Pomocników zjednał tu sobie wielką sympatyę; wszyscy uważają go za dzieło wyśmienite i będące bardzo na czasie. Pierwszym z należących do jego grona jest Najprzew. X. Izmael Perdomo, biskup dyecezyalny, który o synach X. Bosko ma pieczę iście ojcowską. Następuje po nim przew. X. wikaryusz generalny Leopold Blanco, nasz serdeczny przyjaciel; kilkunastu członków duchowieństwa świeckiego, oraz spora liczba dzielnych patryotów i wzorowych chrześcijan. Spodziewamy się, że z pomocą nieba i ze współudziałem ich miłosierdzia również w Ibaguè zakład salezyański doczeka się pocieszającego rozwoju...»



Brazylia. — Jubileuszowe uroczystości Maryańskie w Nictheroy.



PIERWSZE DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

ZAŁOŻONEGO PRZEZ

X. Jana Bosko.

NAPISAŁ X. JAN BONETTI.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XLI.

O systemie uprzedzającym. — Jego wartość i skuteczność. — Dom poprawy *La Generala.* — Ks. Bosko prowadzi na przechadzkę gromadę więźniów. — Opowiadanie hr. Conestabile. — Przemowa ks. Bosko

Jednym z najważniejszych punktów wyżej wspomnianej rozmowy była odpowiedź na pytanie Rattazzego, jakimi środkami utrzymuje ks. Bosko karność wśród swej licznej młodzieży.

— Zapewne ma Ksiądz do pomocy dwóch lub trzech policyantów, przynajmniej tajnych.

— Ekcellencyo! Ja ich bynajmniej nie potrzebuję!

— Niepodobieństwo! Przecież ci chłopcy niczem się nie różnią od swych rowieśników, którzy biegają po ulicach, i sądzę, że są swawolni, uporni i kłótliwi. Jakiemiż upomnieniami, jakiemiż karami i pokutami hamuje Ksiądz Dobrodziej ten nadmiar życia i wolności? Jak uprzedza bójki, swady i nieporządki?

— Przyznaję, że większa część tych chłopców jest niepomiarkowanie żywa i swawolna, ale pomimo tego, aby utrzymać karność, nie używamy tu żadnych kar ani pokut ani gwałtów.

— Nie pojmuję tego; proszę mi to objaśnić.

— Wiadomo Waszej Ekcellencyi, że istnieją dwa systemy wychowawcze: karcący i uprzedzający. Zasadą pierwszego jest wychowywanie człowieka za pomocą siły; po przestąpieniu prawa lub popełnionym błędzie następuje koniecznie nagana i kara. Drugi system wychowuje człowieka zapomocą słodyczy i zachęty, dopomaga do przestrzegania prawa i dostarcza jak najłatwiejszych i najskuteczniejszych środków. Jest to właśnie nasz system. Przedewszystkiem usiłujemy zaszczepić w tych młodych sercach zbawienną bojaźń Bożą, zamiłowanie cnoty i nienawiść do występku. Katechizm i nauki moralne, zastosowane do ich wieku, przyjacielskie rady i upomnienia a zwłaszcza praktyki nabożne podtrzymują ich na dobrej drodze. Wreszcie otaczamy ich, o ile to jest możliwe, łaskawą i miłą czujnością w czasie zabawy, nauki i pracy: dodajemy im odwagi życzliwem słowem, a gdy zapominają o swych obowiązkach, przypominamy im je po przyjacielsku i przyprowadzamy do zmiany obyczajów. Jednem słowem używamy wszelkich pomysłów, które może nasunąć miłość chrześcijańska, aby ich przywieść do tego, by pełnili dobre uczynki a unikali złego jedynie ze względu na sumienie oświecone i wzmocnione religią.

— Bez watpienia system ten najzupełniej i najlepiej odpowiada wychowaniu istot rozumnych. Ale czy jest on dla wszystkich skuteczny?

— Na stu chłopców dziewięćdziesięciu odnosi z niego jak najpożądańsze rezultaty. Na pozostałych dziesięciu wpływa bardzo uspokajająco i czyni ich mniej niebezpiecznymi. To też rzadko kiedy muszę oddalić chłopca z powodu uporczywej swawoli. Tak w tem Oratoryum, jak i przy *Porta Nuova* i w *Vanchiglia* nieraz oddają nam chłopców krnąbrnych i złośliwych, którzy byli utrapieniem rodziców i nauczycieli; zdarza się też, że tacy chłopcy sami przychodzą do nas. Otóż po kilku tygodniach zauważyć w nich można taką zmianę, że rzekłbyś, iż wilki zamieniły się w baranki.

— Szkoda, że rząd nie może zaprowadzić podobnego systemu w swych domach poprawy, gdzie całe setki strażników muszą pilnować karności. Prowadzenie tych zakładów staje się kwestyą coraz to trudniejszą.

— Mniemam, że zaprowadzenie tego systemu w domach karnych nie byłoby dla rządu zadaniem trudnem. Niech tam rząd zaprowadzi religię, niech zaprowadzi stałą naukę katechizmu i nabożeństwa, niech pozwoli, aby je księża często zwiedzali, niech wieźniom pozwoli z kapłanami swobodnie rozmawiać, aby mogli

usłyszeć słowa miłości i pokoju, a wtedy system uprzedzający będzie można łatwo zaprowadzić, a raczej już będzie zaprowadzony. Po pewnym czasie straże staną się tam niemal zbyteczne a rząd odda rodzinom i społeczeństwu ludzi nie groźnych, lecz uczciwych i pożytecznych. Inaczej po kilkuletnich nakładach i karach, rząd nie może ich spokojnie wypuszczać z podobnych zakładów, ale musi ich mieć ustawicznie na oku, aby się gorszych, niż dawniej, zbrodni nie dopuścili.

Ks. Bosko mówił o tym przedmiocie dość długo, bo już od 1841 r. znał turyńskie domy poprawy, które zwiedzał za przykładem ks. Borel i ks. Cafasso. Dlatego też ze znajomością rzeczy mógł rozbierać skuteczność wpływu, który religia wywiera na te upadłe istoty.

— Widok kapłana, mówił ks. Bosko, jego zachęty, przypominają więźniowi szczęśliwe lata, gdy uczęszczał na katechizm. Przychodzą mu wtedy na pamięć nauki proboszcza i nauczyciela; on poznaje, że dostał się do tego miejsca pokuty dlatego, że albo przestał uczęszczać do kościoła, albo nie pełnił tego, czego w kościele uczono. Te miłe wspomnienia nieraz go wzruszają, łza mu się zakręci w oku, poczyna żałować, zgadza się z cierpieniem, postanawia odmienić swoje życie, a po odbyciu kary wraca do społeczeństwa dobrze usposobiony i z postanowieniem poprawy. Przeciwnie, gdy więźniowi odejmiemy miłą pociechę religii, słodycz jej zasad i urok jej nabożeństw, gdy go wstrzymamy od rozmowy z przyjacielem i doradcą jego duszy, co się stanie z tym nieszczęśliwym w tem miejscu przezeń znienawidzonem? Wtedy nie usłyszy żadnego głosu przyjacielskiego, któryby go pobudził do wzniesienia duszy ponad to, co ziemskie; nikt go nie pouczy, że przestępując prawa państwa, obraził Boga, Najwyższego Pana. Nikt go nie pobudzi do żalu, nikt go nie zachęci do cierpliwego znoszenia tej kary doczesnej. Nieszczęśliwy młodzieniec uważa w tych warunkach swoje położenie za wynik okrutnego losu; zamiast skrapiać swe kajdany łzami skruchy, on je kąsa z piekielną wściekłością, nie myśli o poprawie, upiera się i upadla jeszcze bardziej. Towarzyszy niedoli uczą go nowych występków; układają plany zbrodnicze z większą ostrożnością, ale nie myślą o poprawie życia; nie chcą wpaść w ręce sprawiedliwości, lecz knują nowe zamachy na szkodę społeczeństwa.

Ks. Bosko skorzystał z tej sposobności, aby zwrócić ministrowi uwagę na użyteczność tego systemu zwłaszcza w szkołach publicznych i zakładach wychowawczych, gdzie się kształcą i wychowują serca niezmazane grzechem, serca ulegające z łatwością słodkiemu głosowi perswazyi i miłości.

— Wiem dobrze, rzekł w końcu ks. Bosko, że kwestya ta nie wchodzi w zakres działania Waszej Ekscellencyi, ale jedna Jego uwaga, jedno słówko może wywrzeć wielki wpływ na czynność ministra oświaty.

Rattazzi słuchał z wielkiem zajęciem, przyznał księdzu Bosko najzupełniejszą słuszność i przyrzekł popierać według możności ten system w instytucyach rządowych. Atoli słowa tego nie dotrzymał, bo nieraz nie miał odwagi wyrazić i bronić swych przekonań religijnych.

Zaledwie rok upłynął od wspomnianej rozmowy, gdy zdarzył się wypadek, dający ministrowi spraw wewnętrznych namacalny dowód skuteczności systemu uprzedzającego, zastosowanego w wychowaniu moralnem młodzieńców nawet najkrnąbrniejszych. Istnieje w Turynie dom poprawy dla chłopców skazanych przez policyę lub przez sąd za mniejsze lub większe występki. Znajdują się tam także młodzieńcy, których sami rodzice oddali na wychowanie, nie mogąc sobie poradzić z ich uporczywą swawolą. Zakład ten, nazwany *la Generala*, otworzył rząd piemoncki w marcu 1845 r. Może pomieścić trzystu chłopców a zależy od ministra spraw wewnętrznych. Rodzice niektórych chłopców mało się zajmują ich wychowaniem, inni wcale się nimi nie opiekują; reszta chłopców należy do złych lub podejrzanych rodzin. Niektórzy z nich mają swych rodziców lub krewnych także w więzieniu. Jest tam również kilka sierot, które opuszczenie i zaniedbanie popchnęło do występków i które dopiero wtedy zwróciły na siebie uwagę policyi, gdy się jej dały porządnie we znaki. Jeżeli który z nich ukończy dwudziesty rok życia przed ukończeniem kary, przeprowadzony bywa do więzienia dorosłych. W nocy zamknięci są w silnych celach więziennych, a w dzień zaj-

mują się albo robotą w polu, albo jakiemś rzemiosłem, ale zawsze pod okiem dozorców uzbrojonych nieraz w bagnety.

W pierwszych czasach trzeba było niemal ustawicznie stłumiać bunty, kłótnie, bójki, nieobyczajność i inne wybryki; ale w miarę jak religia nabierała większego znaczenia, jak młodzieńcy zaczęli ją poznawać, kochać i praktykować, utrzymywanie karności stawało się coraz łatwiejsze, obyczaje chłopców coraz lepsze, tak że nieraz w krótkim czasie zmieniali się do niepoznania. A jeżeli jeszcze zdarzały się wykroczenia, to główną tego przyczyną było zawsze to, że wpływ religii był za słaby i że w wychowaniu górował zawsze system karcący nad systemem uprzedzającym. Od chwili gdy rząd otworzył ten dom i oddał jego zarząd Towarzystwu św. Piotra w okowach (1), ks. Bosko mógł się od czasu do czasu udawać do tych biednych i politowania godnych młodzieńców. Za pozwoleniem dyrektora więzienia uczył ich katechizmu, wygłaszał nauki, spowiadał i często po przyjacielsku przestawał z nimi na rekreacyach tak, jak to czynił ze swemi dziećmi w Oratoryum. Naturalnie młodzi więźniowie, widząc takie obchodzenie się z nimi, uważali ks. Bosko za swego ojca i przy każdej sposobności składali mu dowody swego uszanowania i najszczerszej miłości. Aby mu się przypodobać starali się żyć wzorowo, o ile byli do tego zdolni.

W jednym atoli wypadku przewyższyli, że tak powiem, samych siebie i udowodnili najwidoczniej, jaki wpływ wywiera system uprzedzający nawet na serca najzatwardzialsze i najkrnąbrniejsze. Już niejeden pisarz obwieścił światu ten dziwny wypadek. Pomiędzy innymi wymienimy ks. Ludwika Mendze, ks. Karola d'Espiney i hr. Karola Connestabile. Przytoczymy tutaj opowiadanie tego ostatniego wyjęte z pracy: *Dzieła religijne i moralne we Włoszech*.

„Ale wpływ ks. Bosko na młodzież nigdzie się lepiej nie uwydatnił, jak w zdarzeniu następującem. Ks. Bosko był kierownikiem duchownym domu poprawy w Turynie. Jako taki miewał dla młodych więźniów rekolekcye, które wydawały błogie owoce. Dobry ten kapłan zauważył w swych słuchaczach i penitentach oznaki szczerego nawrócenia a zarazem serdecznej miłości i przywiązania do jego osoby. Wzruszony tem do głębi postanowił wyjednać u zarządu pewne ulgi dla młodych więźniów. Udał się więc do dyrektora więzień i: „Przychodzę, rzekł, uczynić W. Panu pewną propo-



Brazylia. — Jubileuszowe uroczystości Maryańskie w Nictheroy.

(1) Towarzystwo to zostało założone w 1839 r. przez ks. kanonika Fissiaux, pod protekcyą ks. de Mazenod, biskupa Marsylii.

zycyę. Czy mogę mieć nadzieję, że zostanie przyjęta?“ — „Uczynimy wszystko, co będzie w naszej mocy, aby tylko sprawić przyjemność Wielebnemu księdzu,“ odrzekł dyrektor. „Wpływ jaki W. Ksiądz wywiera na naszych więźniów, jest dla nas największą pomocą w trudnem zadaniu.“ — A więc niechże mi Pan dyrektor pozwoli prosić o jednę łaskę dla tych biednych chłopców. Ich przykładne zachowanie się od niejakiego czasu nie dało powodu do najmniejszej skargi; proszę więc o pozwolenie wyprowadzenia ich wszystkich na jednodniową wycieczkę. Poprowadzę ich piechotą aż do Stupinigi; ta przechadzka wpłynie bardzo korzystnie tak na ich duszę jak i na ciało.“ Przerażony dyrektor podskoczył na krześle; „Ależ W. Ksiądz nie mówi tego na seryo!“ zawołał. „Ja mówię najpoważniej w świecie, odrzekł kapłan, i proszę wziąć pod rozwagę moją prośbę.“ Rozmowa trwała długo. Ks. Bosko nalegał, dyrektor zaś obstawał przy nieugiętych przepisach regulaminu. Wreszcie nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności, przyrzekł pomówić o tem z ministrem.

Ministrem był wtedy Urban Rattazzi, który zastanowił się chwilę nad propozycyą, którą mu przedłożył dyrektor więzień w imieniu ks. Bosko, a potem rzekł, że chce się widzieć prywatnie z ks. Bosko. Ks. Bosko nie omieszkał przybyć do niego z tym wyrazem prostoty i szczerości, który mu był zawsze tak właściwy nawet wobec najwyższych dostojników. Minister przyjął go z największą uprzejmością. „Wielebny Księże, rzekł, chcę się przychylić do prośby, którą mi w Jego imieniu przedłożono. Wielebny Ksiądz może urządzić projektowaną wycieczkę. Ta przechadzka podziała korzystnie na młodych więźniów, tak pod względem moralnym jak fizycznym; wydam stosowne rozkazy: przebrani żołnierze pójdą z daleka, aby w razie potrzeby przyjść W. Księdzu z pomocą, utrzymać porządek lub użyć siły, gdyby który z nich nie chciał wieczorem powrócić do więzienia.“

Minister wypowiedział te słowa głosem stanowczym i sądził, że zadowolił we wszystkiem ks. Bosko; ale ten uśmiechnął się, słysząc wzmiankę o żołnierzach. — „Ekscelencyo, odrzekł, nie umiem wyrazić mojej najżywszej wdzięczności za Jego uprzejmość; ale ja projekt ten tylko pod tym warunkiem w czyn wprowadzę, że Ekscelencya pozwoli mnie samemu tylko pójść z moimi chłopcami i da mi słowo honoru, że nie pośle siły zbrojnej w moje ślady. Wszystko biorę na moją odpowiedzialność. Jego Ekscelencya każe mnie wtrącić do więzienia, jeżeli zajdą jakie zaburzenia.“

Minister był zdziwiony a wreszcie zawołał: „Ależ Wielebny Ksiądz wieczorem nie przyprowadzi nam ani jednego do domu!“ — „Niech Wasza Ekscelencya polega w tym względzie na mnie,“ zawołał ks. Bosko, a z jego zachowania się przebijało, że nie myśli cofnąć swoich żądań. Było zatem do wyboru albo-albo. Rattazzi był ciekawy wyniku tej próby a kapłan wzbudzał w nim zupełne zaufanie: pozwolił więc ks. Bosko urządzić wycieczkę, tak jak sobie życzył.

W kilka dni potem wesoła brygada złożona z trzystu chłopców opuściła Turyn pod dowództwem jednego księdza i ruszyła ku Stupinigi. Na czele szedł osieł obładowany żywnością. Byli to protegowani ks. Bosko. Wyszedłszy z więzienia, z radością i wdzięcznością oddychali świeżem powietrzem i wolnością w pięknym słonecznym dniu majowym. Ich zachowanie się było bez zarzutu, żadna sprzeczka nie zamąciła pokoju tego szczęśliwego dnia, a dyrektor nie potrzebował ani upominać, ani robić wyrzutów, aby utrzymać karność. Wieczorem wszyscy wrócili do więzienia bardziej zrezygnowani i uleglejsi niż przedtem. Minister oczekiwał z niecierpliwością rezultatu tej próby. Pomimo zaufania, jakie w nim wzbudził ks. Bosko, nie był jednak spokojny. Ks. Bosko, odgadując to, nie omieszkał zaraz po powrocie stawić się przed ministrem. Opowiadanie kapłana zdziwiło go niezmiernie: nie chciał mu wierzyć. „Jestem wdzięczny W. księdzu za wszystko, co uczynił dla naszych więźniów; ale chciałbym się od W. księdza dowiedzieć, dlaczego rząd nie wywiera na nich takiego wpływu jak W. ksiądz?“ — „Ekscelencyo, odpowiedział kapłan, nasza siła jest siłą moralną; państwo umie tylko rozkazywać i karać, my natomiast działamy na serca młodzieży, a słowo nasze jest słowem Bożem.“ — „Minister zrozumiał, że kościół posiada siłę tajemniczą, nie ziemską,

której prześladowania ludzkie osłabić nie zdołają."

Tu się kończy opowiadanie sławnego publicysty. Jakże ks. Bosko przygotował swoje trzy setki więźniów do tak przykładnego przepędzenia tego wyjątkowego dnia na wycieczce? Otóż zgromadził ich wszystkich wieczorem w wigilię tego dnia i przemówił mniej więcej w te słowa: „Moje drogie dzieci, powiem wam nowinę, która was niezmiernie ucieszy. Chcąc wynagrodzić waszą życzliwość, jaką mnie okazujecie i wasze przykładne zachowanie się od jakiegoś czasu, a zwłaszcza żeście tak pięknie zrozumieli cel odbytych rekolekcyi, udałem się do pana prefekta więzień (był nim wtedy pan Karol Farcito di Vinea), a następnie do pana ministra i otrzymałem pozwolenie poprowadzić was jutro na przechadzkę aż do Stupinigi."— Na te słowa wzniósł się okrzyk nieznanej radości i szczęścia. Po chwili ks. Bosko zdołał ich uciszyć i mówił dalej: „Widzicie, że łaska to wielka, nie rzadka, ale jedyna, bo dotąd nigdy na to nie pozwolono." — „Niech żyje ks. Bosko!" wołali młodzieńcy z zapałem. — „Tak, niech żyje minister!" mówił dalej ks. Bosko, „ale słuchajcie, moje drogie dzieci, co najważniejsza: ja dałem słowo honoru, że wszyscy od pierwszego do ostatniego zachowacie się tak pięknie, że się obejdziemy bez straży i policyantów; dałem moje słowo, że wy wszyscy od pierwszego do ostatniego powrócicie wieczorem do więzienia. Czyż mogę wam zaufać? Czy mogę być pewny, że żaden z was nie spróbuje uciekać?" — „Tak, tak, niech ksiądz będzie spokojny, my będziemy grzeczni, my będziemy grzeczni!" Krzyk ten był jednogłośny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ŻYWOT
X. biskupa Alojzego Lasagni
Misyonarza Salezyańskiego.

(Ciąg dalszy).

Rozdział XVIII.

Rozwój kollegium Piusa IX. — Św. Franciszek Salezy Doktorem Kościoła św. — Uroczyste święto. — Prośba biskupa. — Dzielny adwokat. — Dom i parafia w Las Piedras. — Trzeci wyjazd misyonarzy. — Siostry Najśw. Wspomożycielki w Ameryce.

Roztropne i mądre kierownictwo ks. Lasagni w przeciągu kilku miesięcy wyniosło kollegium Piusa IX na wysoki stopień rozwoju. Pomimo wielkich rozmiarów gmachu nie można było pomieścić tylu uczni, ilu się ciągle zgłaszało, a stąd wynikła potrzeba powiększenia zakładu, aby znacznej liczby petentów nie pozbawiać dobrodziejstwa nauki i chrześcijańskiego wychowania. Zaledwie ks. Lasagna zdał sobie sprawę z tej potrzeby, jako wierny naśladowca księdza Bosko, przedsięwziął bezzwłocznie roboty, lubo nie miał zapewnionych środków. Wkrótce jednak potem komisya ofiarowała mu subwencyę 30.000 franków a większej reszty spodziewał się od Opatrzności, której zupełnie zaufał. Budowa szybko postępowała i z początkiem następnego roku szkolnego wszystko było gotowe na przyjęcie podwójnej liczby uczniów. Nawet pod względem estetycznym kollegium zostało ulepszone i powiększone przez nowe zabudowania i zyskiwało sobie coraz to szerszy rozgłos.

Pamiętne zdarzenie nastręczyło w tym roku księdzu Lasagni sposobność do urządzenia w kollegium wielkiej uroczystości. Dnia 19. lipca papież Pius IX dekretem „Urbis et Orbis" ozdobił nowym tytułem chwały postać św. Franciszka Salezego, ogłaszając, że dla rzadkiej świętości i głębokiej wiedzy, dla pism tchnących pewną i gruntowną znajomością nauki kościelnej i naj-

milszą pobożnością, uznany zostaje Doktorem Kościoła św. Ks. Lasagna uważał sobie za najświętszą powinność rozniecać w sercach swoich wychowanków płomień żarliwości religijnej, postanowił więc usządzić w kollegium wielkie święto na uczczenie św. Doktora i zaprosił ks. biskupa Verę z Montevideo, aby zechciał przybyć z celebrą. W ciągu tryduum, które poprzedziło ten dzień świąteczny, dzieci przygotowywały się do uroczystego obchodu, słuchając z wielkiem skupieniem słowa Bożego. W samo święto przeszło stu młodzieńców przystąpiło do Sakramentu Bierzmowania. Księdza biskupa uderzyło piękne zachowywanie się chłopców i szczęśliwa zmiana, jakiej dokonały w nich nauki i starania synów ks. Bosko. Po nabożeństwach odbył się popis, na którym uczniowie zdali sprawę z postępów w naukach i ks. biskup przekonał się, jak wybornym duchem ożywiony był cały zakład. Wywiózł też stamtąd najlepsze wspomnienia i postanowił powierzyć Salezyanom parafię w Las Piedras.

To piękne miasteczko powstało było przed trzydziestu laty w odległości trzech mil od Villa Colon. W środku rynku wznosił się duży kościół a proboszczem był kapłan bardzo zacny, który jednak doznał tylu przykrości od sekt antyreligijnych, że po kilku latach, zniechęcony ustawiczną walką, opuścił swoje stanowisko i pozostawił tysiące dusz bez opieki duchownej. Biskup starał się długi czas o następcę, ale daremnie, bo w kraju liczba dobrych kapłanów była bardzo ograniczona. W końcu zwrócił się do Salezyanów i zaklinał ich, aby się podjęli pieczy nad tą parafią, obiecując, że na wieczne czasy pozostanie w ich rękach i że prócz mieszkania dla proboszcza i wikarego, otrzymają przyległy budynek, mogący służyć za szkołę dla dzieci obojga płci. Dobry arcypasterz wyraził nadzieję, że Salezyanie przychylą się do jego prośby i, oddając dyecezyi tak ważną usługę, usuną jedną z trosk najbardziej go dręczących.

Życzenie ks. biskupa Very, wyrażone w ten sposób, nie mogło natrafić na opór. Ks Lasagna przedstawił całą sprawę listownie księdzu Bosko i poparł ją tak gorąco, że otrzymał pozwolenie objęcia parafii. Ks. Bosko przewidział jednak, że szczupłe grono zakonników nie zdoła sprostać tylu obowiązkom i od tej chwili począł czynić przygotowania do nowej wyprawy misyjnej. Oddawna marzył o tem, aby się synowie jego mogli dostać w głąb Ameryki i zbliżyć do dzikich plemion Patagonii, kiedy z końcem lipca 1877 r. Oratoryum turyńskie zaszczycone zostało wizytą księdza biskupa Aneyros z Buenos Ayres, który przepłynął ocean aby paść do nóg Piusowi IX. Złożywszy Ojcu św. hołd swój i wspaniałe dary jubileuszowe, zapragnął jeszcze poznać ks. Bosko i rozmówić się z nim o sposobach i środkach nawracania ludów zamieszkujących Pampasy i Patagonię. Łatwo porozumieli się dwaj gorliwi słudzy Chrystusowi, lecz urzeczywistnienie ich wielkich zamiarów wymagało przedewszystkiem wielkiej liczby misyonarzy. Ks. Bosko uczynił niezwłocznie wybór pomiędzy tymi, którzy oświadczyli gotowość do wyjazdu i do pracy nad rozszerzaniem królestwa Bożego w tych odległych krajach i postanowił, że wyruszą 14. listopada 1877 r z kilku Salezyanami, których był przeznaczył do Villa Colon i do projektowanego domu w Las Piedras.

Jak zwykle tak i tą razą trudności, jakie napotykał na każdym kroku, nie powstrzymały wcale ks. Bosko. Odwołał się do miłosierdzia wiernych swoich przyjaciół, dostarczył wszystkiego, co było niezbędne i 7. listopada ludność turyńska po raz trzeci przypatrywała się z podziwem i radością wzruszającej ceremonii, towarzyszącej wyjazdowi misyonarzy. Grono młodych Salezyanów wyruszyło pod wodzą ks. Costamagni, który w roku 1895 wyniesiony został przez Leona XIII do godności biskupiej i mianowany Wikaryuszem Apostolskim Mendez i Gualaquizy w republice ekwatorskiej.

Lecz tą razą synowie ks. Bosko nie sami puszczali się w podróż do Ameryki. Inne stowarzyszenie zakonne, które również ks. Bosko powołał do życia i które od pięciu lat współzawodniczyło z Salezyanami w cnotach i gorliwości, zapragnęło teraz przyczynić się do rozszerzania światła ewangelicznego na drugiej półkuli. Siostry Najśw. Wspomożycielki Wiernych, które już dwanaście domów założyły były we Włoszech i we Francyi, uniesione szlachetnym zapałem, pokonały wrodzoną słabość kobiecą i zerwały najsłodsze więzy, aby wedle sił swoich pracować na polu misyjnem. Sam czcigodny założyciel wzbudził w nich to święte pragnienie i cieszył się na myśl, ile

się tam religii przysłużą, jak skuteczną pomoc nieść będą Salezyanom w zakładaniu szkółek, w katechizacyi i wychowaniu biednych dziewcząt. Aby zapewnić ziszczenie pięknych nadziei, które w nich pokładał, postarał się o wysłanie dwóch Sióstr do Rzymu, aby otrzymały dla siebie i towarzyszek swoich specyalne błogosławieństwo Ojca świętego. Chętnem sercem udzielił im go święty starzec watykański a wraz z tem błogosławieństwem spłynęła na młodą latorośl reguły salezyańskiej taka obfitość łask Bożych, taka moc i żywotność, iż w krótkim czasie, zapuściwszy głębokie korzenie, rozrosła się w olbrzymie drzewo, w którego cieniu niezliczone zastępy dziewic szukają schronienia przed zepsuciem światowem i, otrzymawszy najstaranniejsze wychowanie, są w późniejszych latach pociechą i chlubą swych rodzin, Kościoła i społeczeństwa.

A zatem kiedy Salezyanie turyńscy, klęcząc przed wizerunkiem Najśw. Panny, wzywali Jej opieki na czas niebezpiecznej podróży, kiedy po raz ostatni żegnali i ściskali swych przełożonych — tego samego dnia i tejże chwili rozgrywała się podobna scena w macierzystym domu Sióstr, w skromnej kapliczce poświęconej Matce Boskiej, Wspomożycielce Wiernych. Wierne oblubienice Chrystusowe, przejęte wielkością sprawy, której się poświęcały, powtarzając w sercu hasło ks. Bosko: ,,Da mihi animas,'' wyruszyły ze swego klasztoru w Mornese do Genui i wsiadły na statek *Savoia*, który już w poprzednich latach przewoził misyonarzy do Ameryki. Jak Salezyanie w czasie podróży morskiej wykładali katechizm chłopcom wychodzców, tak Siostry Najśw. Wspomożycielki Wiernych opiekiwały się dziewczętami, rozpoczynając z zapałem swoje apostolstwo jeszcze przed wylądowaniem w Urugwaju. Za zrządzeniem Bożem to miłosierdzie cichych Sióstr miało się zamienić w długotrwałe i skuteczne dzieło.

Salezyanie i Siostry przeznaczeni do Urugwaju mieli stanąć w Montevideo 12. grudnia. Z pierwszym brzaskiem dnia ujrzeli wieże i kopuły miasta, a jakaż była ich radość, gdy w parę godzin później w czółnie zbliżającem się do okrętu spostrzegli młodego księdza o rudych włosach i żywych oczach: był to ks. Lasagna, który przybywał na ich spotkanie. Powitali go na pokładzie i już zamierzali wsiąść z nim do szalupy, kiedy powstrzymały ich donośnym głosem wyrzeczone słowa: ,,Panowie, wysiadać nie wolno. Należy odbyć dziewięciodniową kwarantanę na wyspie Flores.'' Cóż dało powód do rozporządzenia, które dla naszych biednych podróżnych było tak gorzkim zawodem? Otóż okręt *Savoia* zatrzymał się był po drodze w Rio Janeiro i kilka osób, a między nimi także nasi misyonarze, skorzystało z kilkugodzinnej przerwy aby zwiedzić miasto. Panowała tam właśnie żółta febra i gdy wieść o tem doszła do Montevideo, władza portowa wydała rozkaz, aby wszyscy podróżni odbyli kwarantanę na małej wysepce w pobliżu stolicy.

Pobyt w lazarecie wyspy Flores był wielkiem rozczarowaniem dla misyonarzy i Sióstr i naraził ich na znaczne koszta. Czasu tam jednak nie tracili, oddając się to ćwiczeniom duchownym, to wykładom religii. Wreszcie skończyło się to wygnanie, skrócone do dni pięciu, i misyonarze spotkali się w porcie z ks. Lasagną, który tą razą już bez przeszkód zaprowadził ich uroczyście do kollegium Piusa IX.

Siostrom Najśw. Wspomożycielki Wiernych wyznaczono tymczasowe mieszkanie w pałacu biskupim, gdzie przyjęte zostały z ujmującą gościnnością. Dobre Siostry byłyby pragnęły odrazu zabrać się do pracy, lecz zmuszone były czekać na domek, który dla nich dopiero przygotowywano. Cały miesiąc spędziły jeszcze w Klasztorze PP. Wizytek, zanim spełniły się gorące ich pragnienia i dnia 3. lutego przeniosły się do własnego budynku w Villa Colon. Znalazły tam tylko najniezbędniejsze sprzęty, a szczupłe środki zaledwie wystarczały im na życie, lecz zato posiadały największy skarb, Pana Jezusa utajonego w Najśw. Sakramencie, który dzielił ich ubóstwo i dla którego ochotnie znosiły wszelkie trudy i cierpienia.

Tak skromny był początek zakonu Najśw. Wspomożycielki Wiernych w Ameryce; z czasem powstały olbrzymie zakłady i patronaty, które rozkrzewiły się po całym nowym świecie. Ks. Lasagna radą swoją i skutecznem poparciem przyczynił się niemało do tak pomyślnego rozwoju.

(Ciąg da'szy nastąpi).

NEKROLOG

ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.



Andrzejewski Ignacy, — *Poznań.*
X. Batycki Adam, — *Nadwórna,* Galicya.
Bronikowska Wielebna Matka Katarzyna, Przełożona SS. Urszulanek, — *Tarnów,* Galicya.
Bryłka Szymon, — *Molna,* Górny Śląsk.
X. dr. Bukowski Julian, — *Kraków,* Galicya.
X. Ciechanowicz Władysław, — *Wielowieś,* Galicya.
Czarnecki A. — *Sarnowo,* Prusy Zachodnie.
Flekowa Henryka, — *Tarnów,* Galicya.
X. Grudziński Józef, — *Szaflary,* Galicya.
Kania Józef, — *Brynice,* Górny Śląsk.
Kasprzyk Jadwiga, — *Zabrze,* Górny Śląsk.
X. Kiewert Jan, proboszcz, — *Skurcz,* Prusy Zachodnie.
Klichowska Stanisława, — *Mórka,* Wielkie Ks. Poznańskie.
Korzeniowski Józef, — *Stawy,* Galicya.
X. Krupnik Franciszek, — *Zabierzów,* Galicya.
Krzykała Floryan, — *Srebrniki,* Górny Śląsk.
X. dr. Łukowski Jan, prałat — *Tarnów,* Galicya.
Mendel Michał, — *Krzywiń,* W. Ks. Poznańskie.
Mrajcza Michał, — *Tomice,* Galicya.
Nowacki Michał, — *Strzyżewo kościelne,* W. Ks. Poznańskie.
Pągowska Wielebna Matka Karolina, — *Tarnów,* Galicya.
Płecka Antonina, — *Wadowice,* Galicya.
Sala Regina, — *Osielec,* Galicya.
Dr. Serafiński Antoni, adwokat krajowy, — *Bochnia,* Galicya.
Sobeczka Hieronim, — *Babice,* Górny Śląsk.
Sobolewski Józef hr., — *Wołkowce,* Galicya.
Spisak Ignacy, — *Tomice,* Galicya.
Staszak Rozalia, — *Brzezowice,* Górny Śląsk.
X. Stefański Kazimierz T. J., — *Bąkowice,* Galicya.
Szłapka Józef, — *Łóżkowo,* W. Ks. Poznańskie.
Szumpeter Jan, notaryusz, — *Busk,* Galicya.
Tycner Antoni, — *Jurkowo,* W. Ks. Poznańskie.
Unrużyna Emilia, — *Mórka,* W. Ks. Poznańskie.
Wawrzyniak Józefa, — *Ostrowo,* W. Ks. Poznańskie.
Wrońska Augustyna, — *Lubcza,* Galicya.
Zając Antoni, — *Wielki Kamień,* Górny Śląsk.
X. Zawadzki Aleksander, proboszcz, — *Cieszanów,* Galicya.
Zciera Stanisław, — *Tomice,* Galicya.
Zmarzlik Elżbieta, — *Przysiec,* Górny Śląsk.
Zmuda Jadwiga, — *Brosławice,* Górny Śląsk.
Żoładźka Elżbieta, — *Odporyszów,* Galicya.
Żurek Joanna, — *Rude Piekary,* Górny Śląsk.
Zwadło Antoni, — *Dzieszowice,* Górny Śląsk.
Zych Franciszka, — *Rozdrażewo,* Wielkie Księstwo Poznańskie.



Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino.
Drukarnia salezyańska. (B. S.) — Turyn, 1905.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: Robert Eckert.

2. Będą więc mieć udział w wszystkich Mszach św., modlitwach, nowennach, tryduach, ćwiczeniach duchownych, kazaniach, katechizacyach, jednem słowem we wszystkich zasługach, jakie sobie zakonnicy salezyańscy w służbie Bożej po całym świecie zaskarbią.
3. Będą również uczestnikami we Mszy św. i modlitwach, jakie codziennie się odprawiają w kościele Matki Boskiej Wspomożenia w Turynie za Dobrodziejów wraz z całą ich rodziną, mianowicie zaś za tych, którzy, bądź moralnie, bądź materyalnie, wsparli Zgromadzenie salezyańskie.
4. Nazajutrz po święcie św. Franciszka Salezego wszyscy kapłani-Salezyanie i ich Pomocnicy-kapłani odprawią Mszę św. za zmarłych współbraci. Pomocnicy, którzy nie są kapłanami, przystąpią do Komunii św. i zmówią trzecią część różańca.
5. Jeżeli który ze współbraci zachoruje, należy o tem natychmiast zawiadomić Przełożonego, który zaraz zarządzi osobne modły za niego. To samo w razie śmierci którego z Pomocników.

VIII.

Praktyki religijne.

1. Pomocnikom salezyańskim nie przepisuje się żadnych praktyk zewnętrznych. Atoli żeby życie ich choć cokolwiek zbliżyć do tego, jakie się wiedzie w zakonie, zaleca się im skromność w ubiorach, wstrzemięźliwość w mowie, ścisłe wypełnianie obowiązków stanu i czuwanie nad tem, ażeby ich słudzy i domownicy dokładnie święcili niedziele i święta kościelne.
2. Poleca się im, ażeby corocznie przynajmniej przez kilka dni odbywali ćwiczenia duchowne. Każdy ostatni dzień miesiąca albo inny jaki dzień dogodny poświęcą na przygotowanie się na śmierć, spowiadając się i komunikując, jakby to rzeczywiście był ostatni dzień życia. Tak po odbyciu ćwiczeń duchownych jak w dniu, w którym się przygotowali na śmierć, dostępują *odpustu zupełnego.*
3. Każdy Pomocnik zmówi codziennie *Ojcze nasz* i *Zdrowaś* do św. Franciszka Salezego na intencyę Ojca św. Kapłani i wszyscy ci, którzy odmawiają pacierze kapłańskie albo oficyum do Matki Boskiej, zwolnieni są od tych modlitw. Dla nich wystarczy dołączyć tę intencyę przy odmawianiu pacierzy.
4. Zaleca się im częste przystępowanie do Sakramentów Pokuty i Ołtarza, tem więcej, że za każdym razem dostąpić mogą odpustu zupełnego.
5. Odpusty te, czy to zupełne, czy też cząstkowe, ofiarować można za dusze w czyscu cierpiące, z wyjątkiem odpustu w godzinę śmierci, który wyłącznie przywiązany jest do osoby, a dostąpić go można tylko w chwili, kiedy dusza odłącza się od ciała i przechodzi do wieczności.

UWAGA.

Jakkolwiek się gorąco zaleca dokładne wypełnianie tych przepisów dla rozlicznych korzyści duchownych, jakie każdy z nich odnieść może, jednakowoż aby nie dawać powodu do skrupułów i niepokojów sumienia, oświadczamy, że zachowywanie tych ustaw nie obowiązuje pod karą grzechu ani śmiertelnego ani powszedniego, wyjąwszy takie wypadki, kiedy to skądinąd jest nakazane albo wzbronione przez przykazania Boże lub kościelne.

Visto, si approva per la ristampa.

Genova, 22 Dicembre 1876.

MICHELE C. COLLA, *Vic. Gen.*

X. JAN BOSKO

urodził się 16 sierpnia 1816 r. w Castelnuovo d'Asti (w tej jego części albo odłamie, który dziś jeszcze zowie się Becchi), dyecezyi turyńskiej, w północnych Włoszech. Ojciec jego, Franciszek, był wieśniakiem, rodem z Murialdo, matka Małgorzata (z domu nazwiskiem Occhiena) pochodziła ze wsi Capriglìano. Ojciec odumarł go, kiedy miał zaledwie 2 lata. W dziesiątym roku życia miał ów tyle znamienny sen, w którym widział, jak wilki i inne drapieżne zwierzęta, które był zaczął paść, stopniowo pod jego wpływem zamieniały się w baranki, te zaś w chłopców skromnych i bogobojnych, z tych znowu niektórzy w kleryków i księży. Jako 12 letni chłopiec o niczem innem nie marzył, jak o zajmowaniu się i opiekowaniu ubogą a opuszczoną dziatwą. Czując w sobie coraz wyraźniej ten wewnętrzny pociąg, mawiał nieraz: „*Jeżeli kiedyś zostanę księdzem, to całe moje życie poświęcę dla młodzieży. Będę chłopców koło siebie gromadził, będę ich miłował, oni mnie również pokochają, będę ich zachęcał do dobrego i oddam się im cały na usługi, byle tylko przyczynić się do ich zbawienia.*"

Roku 1835 wstąpił do seminaryum duchownego w Turynie, a 5 czerwca r. 1841 otrzymał święcenia kapłańskie. Jeszcze tego samego roku, i to dnia 8 grudnia, w dzień Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny, rozpoczął swój zawód apostolski wśród ubogiej młodzieży, a pierwszym opuszczonym i moralnie zaniedbanym chłopcem, którym się zajął, był Bartolomeo Garelli. Następnego roku (1842) w lutym miał ich już dwudziestu, niezadługo liczył ich całą setkę, a nadawszy tym luźnym i zrazu dość niesfornym żywiołom ściślejszą organizacyę, poddał to swoje *oratoryum* pod opiekę św. Franciszka Salezego. Roku 1844 gromadziło się koło niego już blisko 300 chłopców, których musiał nauczać pod gołem niebem, nie mogąc się z nimi z przyczyny niechętnych, lub wprost niegodziwych ludzi, nigdzie usadowić.

Roku 1846 wynajął szopę na Valdocco i tam uczył chłopców katechizmu, przygotowywał ich do przyjmowania Sakramentów św. i zachęcał do życia bogobojnego. W tym samym roku ciężko zaniemógł i usunął się na pewien czas do rodzinnej wioski celem poratowania nadwątlonego zdrowia; 3 listopada powrócił do Turynu, wiodąc ze sobą matkę, która odtąd przy synu zamieszkawszy, nieocenioną stała się dla nowego Oratoryum pomocą. Aby módz jak najwięcej chłopców przygarnąć, X. Bosko sprzedał swoją ojcowiznę a matka Małgorzata nawet ślubną suknię i ozdoby; za to najął obok szopy kilka izdebek i umieścił w nich kilku, później kilkunastu chłopców, których wraz z matką czułą otoczył opieką. Liczba przygarniętej młodzieży rosła z każdym dniem; założył dla niej różne warsztaty, ćwiczył ją w szkółkach wieczornych i dziennych, zdolniejszych zaprawiał do nauk klasycznych. Równocześnie zwiększał się zastęp dziatwy, uczęszczającej do *kaplicy świątecznej*; r. 1847 bywało jej tam nieraz do 800. W roku 1857 pomagało mu w tej iście apostolskiej pracy kilku młodych księży a jego byłych wychowanków; 27 kwietnia 1865, mając w kieszeni zaledwie 40 *centesimi* (= 32 fenygi czyli 16 centów), rozpoczął budowę kościoła Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych, który kosztował przeszło milion franków. 3 kwietnia 1874 Papież Pius IX zatwierdził regułę *Pobożnego Towarzystwa św. Franciszka Salezego* (Zgromadzenia salezyańskiego). 1872 założył zakon żeński Sióstr Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych, a r. 1875 wysłał pierwszych misyonarzy salezyańskich do Patagonii w Ameryce południowej. 9 maja 1876 Pius IX zatwierdził *Związek Pomocników salezyańskich.*

31 stycznia 1888 o trzy kwadranse na piątą z rana Najdobrotliwszy Stwórca powołał go do Siebie, aby mu za wszystkie trudy i prace, dla chwały Bożej poniesione, stósowną dać zapłatę. Zwłoki jego spoczywają w Valsalice pod Turynem. Panu Bogu swemu służył tu na ziemi wiernie 72 lata, 5 miesięcy i 15 dni. W tym przeciągu czasu wychował i w części wykształcił setki tysięcy młodzieży, kościołowi dostarczył przeszło 6000 kapłanów, zyskał blisko 100,000 Pomocników, założył w Europie i Ameryce około 250 zakładów, kaplic świątecznych i stacyi misyjnych, wybudował wiele kościołów i kaplic, a przez swych misyonarzy w Patagonii i Ziemi Ognistej ochrzcił do 20,000 pogan. Zgromadzenie przezeń założone liczy dzisiaj blisko 2000 członków, posiada około 400 swoich zakładów i wychowuje do 300,000 młodzieży.

(Ciąg dalszy nastąpi).